Nr. 160. Lwów — Piątek dnia 16 Lipca. Rok 1897.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „
Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 zł. — ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
w „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo tłustym petitem po . . . . . 2 „
tłustym garmondem po . . . . . 3 „
Korespondencye prywatne za każde słowo tłustym petitem po . . . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . 20 ct. | Nekrologia . . 20 ct.
Ogłoszenia do *Przeglądu* przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.
Ogłoszenia nad przeglądem politycznym 30 ct. od wiersza.

Dziś: 16 NMP. Szkaplerznej | Andreja Ap.
Jutro: 17 św. Aleksego W. | Aftanazya

Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca o 4 m. 22
Zachód „ „ 7 „ 46

Długość dnia g. 15 m. 24
Ubyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 15 lipca.

P. Bagnicki, publicysta piszący po rosyjsku i autor znanej naszym czytelnikom „Spowiedzi Polaka współczesnego“, naraził się tą „Spowiedzią“ na ataki prasy, hołdującej systemowi Murawjewa i Hurki. Zmuszony do polemiki, wystąpił on z nową rozprawką, w której czyni wiele trafnych uwag, na nieszczęście jednak nie ustrzegł się jednego błędu, który psuje efekt całości. Mianowicie, sprawę polską przeniósł na grunt międzynarodowy, gdzie jej w teraźniejszych okolicznościach całkiem niewygodnie. Powiada on tak: „Nie byłoby chyba dla urzędowej Rosyi przykrem, gdyby następstwem łagodnego systemu w Królestwie Polskiem zjawiła się grawitacya wszystkich Polaków do Rosyi“. A dalej: „Odtworzyć Polski historycznej nie można nawet ze stanowiska pojęć prawnych; ale dałaby się wytworzyć taka sytuacya, przy której Rosya, korzystając ze sposobności, jaka się może nadarzyć rozszerzyłaby swe granice, a właściwie granice Królestwa Polskiego, złączonego z nią unią. Mogłoby to się stać pokojowo, za pomocą jakiejś kompensaty, a więc nie byłoby ani ryzykowne, ani mozolne, korzystne zaś bezwarunkowo. Niech tylko taki pogląd utrwali się w Rosyi, a może się utrwalić, jeżeli jej polscy poddani przenikną się myślą o nierozerwalności węzłów polsko-rosyjskich. Aby zaś przejęli się tą myślą, trzeba im dać możność życia własnem życiem w ich narodowych granicach, których kierunek wskażą rezultaty niedawno dokonanego spisu ludności. Takie administracyjne wyodrębnienie Królestwa nie przedstawia nic niebezpiecznego dla monarchii. Wprawdzie mówią, że Polacy są nienasyceni i gdy dać im jedno, wnet zażądają drugiego, i tak ciągle, aż do zupełnej samoistności państwowej. Nawet głośny slawista, prof. Łomanskij, uznając, że z rosyjskiego punktu widzenia byłoby dobrze stworzyć Polakom znośne warunki życia, obawia się jednak ich nienasycenia. Gdzież jest dowód takiej ich pożądliwości? W Austryi były chwile, gdy stronnictwa bardzo możne proponowały Galicyi takie stanowisko, jakie ma Chorwacya, a jednak ona na to się nie złakomiła. Mogą się znaleźć ludzie, którzy zapragną własnego wojska i granic celnych, ale wpływu na ogół oni nigdy mieć nie będą. Opinia zawsze wskaże im miejsce w domach dla obłąkanych. Nie można się także obawiać możliwości powstań. Szaleństwo wywołało wypadki z r. 63-go, lecz ten szał da się wytłómaczyć zagranicznymi wpływami. Sami Polacy nie przypuszczali, aby mogli własnemi siłami pokonać Rosyę; zwiodła ich polityka Napoleona III. Więc ostatecznie ten szał jest zrozumiały. Ale gdzież jest perspektywa drugiej podobnej sytuacyi? Przytem zaś jak można nawet przypuszczać, że Polacy nie widzą, iż cała ludność Królestwa Polskiego razem ze starcami, kobietami i dziećmi jest mniej liczną, aniżeli ten zastęp wyćwiczonych żołnierzy, jaki Rosya jest w stanie wystawić?!“ (*)

Otóż wszystko to jest trafne i przekona każdego logicznego człowieka. Skoro tylko waryat może myśleć o powodzeniu powstania, przeto pozostaje zdobyć warunki narodowego życia i niczem ich na szwank nie narażać. Tu jeszcze można poddać panu Bagnickiemu myśl następującą: w narodzie naszym zawsze słabo było rozwinięte poczucie państwowości, natomiast poczucie autonomiczne było po wszystkie czasy ogromnie silne. Tkwi to we krwi naszej i objawiało się zawsze, w najświetniejszych i najsmutniejszych chwilach naszej historyi. Własne państwo mieliśmy za nic, ale gdy wypadało nam bronić domu własnego i wiary, zrywaliśmy się na równe nogi wszyscy, dokazywaliśmy wielkich rzeczy i przy sposobności ratowaliśmy państwo. Po stu latach olbrzymich cierpień i doświadczeń niezawodnie dużośmy zmądrzeli — dowodem spory zastęp bardzo wybitnych mężów stanu, których wydaliśmy. Ale ogół zawsze kieruje się wrodzonemi mu skłonnościami, nie nauką, nie filozofią. Otóż Galicya nie dlatego jest zadowolniona ze swych politycznych stosunków, że rozumem przekonała się o ich dobroci, lecz dlatego, że posiada autonomię, której wymaga nasza natura. To samo było w Wielkopolsce przed jej germanizacyą, to samo być może w Królestwie — i to jest motyw, który może przekonać każdego polityka. Po co jednak p. Bagnicki pisze o rozszerzaniu granic Królestwa Polskiego kosztem Austryi, czy Niemiec, tego nie rozumiemy. Sprawa pokojowa, cywilizacyjna, kwestya sprawiedliwości jest przez to odrazu przeniesiona w sferę, w której czuć woń prochu i krwi przelanej, a wrażenia tego nie osłabia zastrzeżenie, iż podobne rozszerzenie granic ma się stać sposobem jakiejś kompensaty, bo aby rozporządzać tem, co ma być kompensatą, trzeba wojować. P. Bagnicki zapewnia Rosyan o lojalności Królestwa Polskiego, niech że nie utrzymuje, że Galicya może się stać nielojalną względem Austryi, bo to nietylko jest zawodne, ale osłabia jego własną argumentacyę.

P. Bagnicki przytacza w swej rozprawce jakieś urzędowe pismo rosyjskiego dygnitarza i historyka p. Czyczeryna. Słowa jego są tak rozumne, że powtórzyć je trzeba. Pisze tedy p. Czyczeryn: Wcielić jedną narodowość w drugą można tylko wtedy, jeżeli ta wcielana narodowość nie ma praw historycznych, które trzeba uszanować. Kraj niewielki, który nigdy nie stanowił państwa i został podbity przez wielkie mocarstwo, może wsiąknąć w organizm tego mocarstwa, a więc wolno do tego dążyć. Lecz narodowości historycznej wytępić niepodobna. Nawet po największych klęskach podnosi się ona z nową siłą, zachowując nieprzejednaną nienawiść do swych zdobywców. Wystarczy przypomnieć stosunek Czechów do Niemców. Wojna trzydziestoletnia niemal całkowicie wytępiła naród czeski, a oto dziś okazało się to daremnem. Znieść samoistność pewnego narodu, włączyć go do innego organizmu, wszak to znaczy zniewolić go, by się wyrzekł sam siebie. Zapomnieć przeszłości, wspomnień, minionej wielkości, interesów, zwyczajów, języka, — a wszystko to dla korzyści wroga — nie, to nad siły ludzkie! A jeśli osiągnąć tego nie można, to po co dążyć? Kraj podbity, ale mający swą odrębność administracyjną, jest niejako krajem zewnętrznym. Jeśli on jest wrogiem monarchii, zawsze to wróg zewnętrzny, z którym łatwiej walczyć niż z wewnętrznym. Przez zlanie go ze swym organizmem nie uczyni się go przyjacielem, po cóż więc chorobę zewnętrzną wpędzać w swój organizm, kiedy tam trudniej z nim walczyć. Zadowolić trzeba podbity historyczny naród, dbać o jego interesa duchowe i materyalne, pomagać mu we wszystkiem, bo się przez to i sobie pomaga, a jeśli pomimo tego okaże się wrogiem, wtedy słusznie będzie rozprawić się z nim siłą. To się zupełnie stosuje do stosunku polsko-rosyjskiego. Włączenie Królestwa do organizmu Rosyi jest z punktu widzenia państwowych interesów szkodliwe, zlanie Polski z Rosyą może być dokonane tylko na papierze, lecz w rzeczywistości zawsze będzie złudzeniem. Można chyba zrosyanizować gubernie zachodnie (białoruskie), ale i to bardzo trudno, bo trzeba walczyć z polskiemi warstwami wyższemi, uzbrojonemi w tradycyę, bogactwo i wykształcenie. Potrzeba na to bardzo długiej pracy i zużycia najlepszych sił Rosyi; jeżeli się to opłaci, niech będzie zrobione. Lecz jeżeli tem usiłowaniem obejmiemy i Królestwo — zadanie stanie się nazawsze niewykonalnem i zgubnem“.

Bardzo to jest trafne rozumowanie. Można tylko dodać, że tej walki my podsycać nie będziemy, wrogiem nie nazwie nas Rosya, jeśli sama wystąpi względem nas przyjacielsko. Zresztą ma ona już na to dowody: zaledwie okazała chęć zmiany, wnet znalazła nas gotowymi do pojednania. Nie oddamy tylko tego, czego oddać nie jesteśmy w stanie: — duszy narodowej, a więc naszej wiary, naszego języka i naszych obyczajów.

Okazuje się, że sułtan po kolei zwracał się z telegramami do cesarza Wilhelma, króla Humberta i prezydenta Faure'a, prosząc ich o większe uwzględnienie tureckich interesów i o przemawianie w tym kierunku w koncercie mocarstw; lecz zewsząd otrzymał odpowiedzi podobne do tej, jaką mu dał Cesarz Franciszek Józef. Zaznaczona tak dosadnie zgodność Europy podobno przygnębiła polityków tureckich. Wprawdzie donoszą z Konstantynopola o jakichś przygotowaniach wojennych, o powiększeniu korpusu stojącego na pograniczu kaukazkiem, o zakładaniu torpedów w cieśninach i o tajnej konwencyi z Rumunią na wypadek wystąpienia Bułgaryi przeciw Turcyi; ale ostatnia wiadomość jest absurdem, tamte zaś, jeżeli są prawdziwe, to można je zrozumieć albo jako nadrabianie miną, albo jako skutek trwogi, że gniew Europy może się wyrazić marszem wojennym. Niezaprzeczenie, ogromnie trudne jest położenie sułtana, który się znalazł pomiędzy młotem mocarstw a kowadłem fanatyzmu muzułmańskiego; lecz jeśli ta fatalna pozycya nie zdołała pozbawić go krwi zimnej, to uzna, że trzeba stłumić fanatyzm, a usłuchać mocarstw Przypuszczamy, że powstrzyma wysyłkę wojsk na Kretę i zawrze pokój z Grecyą.

Jednak — co do Bułgaryi — to jej stanowisko jest w istocie dwuznaczne. Wiadomo, że powołała rezerwy niby na zwykłe ćwiczenia, które przeciągają się zbyt długo. Powstało tedy przypuszczenie, że zamierza to księstwo oddać jakąś usługę mocarstwom, jeżeli trzeba będzie poskromić Turcyę, i za to uwolni się z wassalnego stosunku do sułtana, a nadto ks. Ferdynand awansuje siebie na króla. Jednak p. Stoiłów, bawiący teraz w Rzymie, oświadczył, że niezawodnie może przyjść chwila, w której książę sięgnie po królewską godność, ale teraz o tem nie myśli. Rzekł on także, iż znając Turcyę lepiej niż politycy europejscy, może zapewnić, że ona ulegnie woli mocarstw, a zatem poskramiać jej nie wypadnie. Skoro zaś tak, to po cóż pogotowie zbrojne, przeprowadzone w Bułgaryi? Pozostaje mniemać, że Stoiłów hołduje zdaniu, iż mowa jest na to dana dyplomatom, by mogli ukrywać myśli. Trzeba jednak uwzględnić to, że wypadki mogą pokrzyżować plany mocarstw i dobre chęci sułtana. Jeden taki wypadek już się stał, a znany jest z wczorajszego telegramu: bitwa angielskiej załogi z baszybozukami na Krecie wskazuje, że wojsko tureckie przestaje słuchać władzy i zajmuje się polityką, skoro wie, że Anglia jest po stronie Grecyi.

Rada koronna. — Plotki. — Zwrot.

Piszą nam z Wiednia, 14 lipca:

Celem wczorajszej narady ministrów wspólnych, tudzież prezesów dwóch gabinetów pod prezydencyą Cesarza było ustanowienie modus procedendi co do ułożenia budżetu wspólnego, który będzie zakomunikowany delegacyom na sesyi jesiennej. Z 31 grudnia upływa ostatni termin ustawy o kwotach, przedłużony na lat 10 w r. 1887. Nie jest także rzeczą pewną, czy oba rządy zdołają na czas przeprowadzić w parlamentach tymczasowe przedłużenie tej ustawy na rok jeden. A zatem nie dostawałoby legalnej podstawy dla budżetu wspólnego na rok 1898, gdyby konstytucya austryacko-węgierska z r. 1867, mianowicie ustawa o sprawach wspólnych nie przyznawała w takich przypadkach monarsze prawa ustanowienia stosunku kwoty na rok jeden według austryackiego tekstu ustawy, bez ściśle określonego terminu według tekstu węgierskiego. Oczywiście konferencya wczorajsza zdecydowała, że na tej podstawie można przystąpić do ułożenia budżetu wspólnego na rok przyszły.

Takie prozaiczne fakta nie wystarczają lubownikom sensacyi. To też, zachęcony przykładem *Wiener Allgemeine Zeitung*, która niedawno temu mianowała barona Gautscha przyszłym prezesem gabinetu, *Neues Wiener Tagblatt* dzisiaj pod formą depeszy z Pragi zapowiada powołanie hr. Merveldta, dawniej namiestnika Górnej Austryi, od 2 lat pełniącego te same obowiązki w Tyrolu, na nieopróżniony dotąd urząd prezesa gabinetu. Byłby to Kielmansegg II. Prawdopodobnie jedyną podstawę tej plotki tworzy okoliczność, że hr. Merveldt niedawno temu miał posłuchanie u Cesarza. Przeglądając listy audyencyi w Burgu z ostatnich tygodni, możnaby co dzień wymienić nowego prezesa gabinetu in spe.

Na przesilenie gabinetowe w tej chwili nie zanosi się. Jednakże niewątpliwie trudności sytuacyi wzmagają się w miarę ubywania czasu, który nas dzieli od jesiennej sesyi parlamentu. Zaostrzyły ją także rezolucye ostatniej konferencyi wiernokonstytucyjnych wielkich właścicieli, a zwłaszcza mowa hr. Oswalda Thuna, złożona z samych ostrych rekryminacyi, ale nie wskazująca żadnej drogi wyjścia z teraźniejszego zamętu.

Natomiast widoczne naprężenie ostatecznie oddziałało pożytecznie — na młodoczechów. Półurzędowy „Fremdenblatt“, który występuje coraz wytrawniej, tymi dniami bardzo słusznie ostrzegł młodoczechów, aby „nie pobrzękiwali zbyt często pałaszem większości parlamentarnej“. Ostrzegamy przed tem od 2 miesięcy; ta większość nie powstała przecież wyłącznie do popierania żądań młodoczeskich, a jej adres na czele podnosi konieczność załatwienia bieżących potrzeb państwowych. Uczciwe te ostrzeżenia wreszcie przemówiły do przekonania młodoczechów; wnosimy to najprzód z faktu, że od tygodnia żaden z nich nie wygłosił deklamacyjnej mówki, utrudniającej sytuacyę, i że świeżo burmistrz Pragi odwołał zapowiedziany na 18-go b. m. walny zjazd delegatów wszystkich miast czeskich, który w danym razie nie mógł Czechom przysporzyć żadnych korzyści, ale byłby ponownie zaostrzył rozdrażnienie. Większości parlamentarne działają, ale nie deklamują. Deklamacye trzeba pozostawić opozycyi. O tem powinny pamiętać wszystkie stronnictwa, należące do większości.

List z Warszawy.

Kiedy w czasie zakładania banku włościańskiego, układano dla niego statuty, nie spodziewano się, że klauzule, mające wyłączyć z pomocy tego banku narodowość polską, dla której prawodawca źle był usposobiony, osiągną w skutkach coś, czego prawodawca zupełnie nie pragnął. Oto artykuł 1 tych statutów powiada, że mieszczanie i rolnicy pochodzenia polskiego nie mogą tam, gdzie się znajduje ludność rosyjska, korzystać z pomocy banku włościańskiego. Wyjątek z tego prawa stanowią tylko ci z polskich włościan, którzy mają na rozparcelowanych gruntach serwituty.

Co taki przepis miał na celu? Wykluczenie ludności pochodzenia polskiego od prawa nabywania gruntów, gdyż bez pomocy banku włościańskiego, za własne tylko pieniądze, włościanie rozparcelowanych gruntów dworskich nabywać nie mogą, bo nabywając je na wypłatę, brnęliby w powikłane interesa i zanimby po spłacie przyszli w posiadanie nabytego gruntu, jużby inne jakieś, zahipotekowane na dobrach towarzystwo sprowadziło całkiem inne transakcye, sprzedało dobra itp. Posiadający zaś prawo serwitutowe, miejscowi włościanie, po większej części dzięki pokątnym doradzcom nie korzystają z przysługującego im prawa, gdyż antagonizm zaogniony procesami serwitutowymi, nie dopuszcza do żadnego porozumienia z dworem.

Jeżeli więc zdarzy się że jakiś właściciel ziemski, zmuszony złem położeniem finansowem, rozparcelowuje część swych gruntów i chce ją sprzedać, aby utrzymać przynajmniej resztę w posiadaniu, wówczas z powodu tej klauzuli, ograniczającej pomoc banku włościańskiego, nie znajdując polskich nabywców, sprzedaje ziemię kolonistom niemieckim. Ci, bogatsi od włościan polskich, a przytem nie wykluczeni od uciekania się do pomocy banku włościańskiego, kupują parcele, płacąc dobrze, a przedewszystkiem gotówką. W tem zaś, że Niemcy zamieszkujący te gubernie, w których działa bank włościański, grawitujący zawsze do „Vaterlandu“ i niechętni *eo ipso* idei rosyjskiej, rozwielmożniają się coraz bardziej, w tem właśnie tkwi zemsta praktyczna za klauzulę, wykluczająca od korzystania z pomocy banku włościańskiego ludność pochodzenia polskiego. Tego chyba prawodawca rosyjski nie mógł mieć na celu.

Tu u nas w Warszawie burzy opinię publiczną sprawa niesumienności zarządów tych instytucyi, które powstały i istnieją dzięki dobroczynności jednostek i publiczności. Zaledwie przebrzmiały burze, wszczęte o nieporządki w „Punny“ (zakładzie poprawczym dla dziewcząt) i w „Studzieńcu“ zakładzie dla małoletnich przestępców, już pojawiły się nowe wersye, które w bardzo niekorzystnem świetle przedstawiają całą działalność faworyzowanego przez prasę zarówno, jak i przez ogół „Towarzystwa dobroczynności“. Mamy zatem obecnie aż cztery rozjątrzające umysły sprawy, a wszystkie one związane są z zapisami, poczynionemi przez ludzi dobrej woli i wielkiego serca. Wprawdzie komisye, delegowane do sprawdzania nieporządków w znacznej części osłabiły pierwotne zarzuty prasy, ale już sam fakt, że dwaj kierownicy, profesorowie pp. Białecki i Miklaszewski, podali się do dymisyi, nie może dobrze wpłynąć na przyszłość. Na ofiarność Warszawy chyba nie oddziałają korzystnie wszystkie te zarzuty pism. Ludzie dobrych chęci zaczną się lękać, ażeby grosz publiczny nie poszedł na marne i skutki mogą być z czasem jak najgorsze. Tymczasem prasa nie ustępuje i wywlekła nowe nieporządki w fundacyi pani Radzimińskiej w Rytomoczydłach. Najgorszy, najzgubniejszy wszakże wpływ na ogół wywrzeć może nowy skandal, tym razem w Towarzystwie dobroczynności.

Przy tem towarzystwie istnieją tak zwane kasy groszowe, do których ludzie, pragnący nawet najskromniejszy grosz oszczędzić, składają swoją krwawicę. Cel bardzo piękny. zdawało się też, że wszystko idzie porządnie, na czele stoją ludzie, do których nie przylega żaden cień podejrzeń gdy oto *Dziennik dla wszystkich* wystąpił z zarzutem, sformułowanym kategorycznie, a twierdzącym, że w kasach groszowych pokazał się deficyt, dochodzący do kilkunastu tysięcy rubli. Zarzut ciężki, który, w bardzo miękki co prawda sposób, potwierdził *Kuryer Codzienny*, zawiadamiając, iż odbyło się „nadzwyczajne zebranie“, na którem postanowiono przystąpić do gruntownej rewizyi książek. Zarząd Towarzystwa do tej pory zachowuje milczenie, co tem więcej utrzymuje publiczność w przeświadczeniu, że zarzut musi być nie bezpodstawny Gorączkuje to wszystko oczywiście i wywołuje komentarze wcale niepochlebne. W takich razach milczeć też wyniośle nie wolno, boć nie chodzi tu o bogaczy, ale o tych biedaków, którzy raz na zawsze mogą się zrazić do instytucyi swojskich. Zdaniem ludzi, patrzących trzeźwiej, ażeby uchronić się na przyszłość od możliwego powtórzenia deficytu, istnieje jedyne tylko *remedium*, t j. skasowanie urzędów honorowych. Ach! te urzędy honorowe w Towarzystwie dobroczynności! Gdzie się ruszysz, natrafiasz albo na prezesa, albo wiceprezesa, albo radzcę, albo sekretarza itp. Wszyscy oni wypisują na kartach wizytowych swoje godności, ale gdy przyjdzie do pracy rzetelnej, wówczas chowają się po kątach. Instytucya nie jest bynajmniej drobną, rozporządza milionami, więc też w takich warunkach obywanie się bez płatnych urzędników zakrawa wprost na lekkomyślność. Darmo pracować w takim ogromie najróżnorodniejszych interesów mogą albo osoby bardzo dobrej woli, poświęcające się dla społeczeństwa, albo starzy emeryci, zabijający w ten sposób wlokące się zbyt wolno dla nich godziny, albo wreszcie ci, którzy widzą tu swój interes. Że tak jest, przekonywają nas ostatnie wydarzenia deficytowe.

Zmarły tu niedawno ś. p. mecenas Henryk Krajewski zajmuje dotąd prasę tutejszą, a raczej zajmuje ją jego testament, mocą którego powstać ma instytucya nazwana „Charitas“. Celem jej ma być kształcenie dzieci, zwłaszcza ze stanu włościańskiego. Ze względu jednak, że suma legowana przez zmarłego, jakkolwiek przekraczająca 100 tysięcy rubli, nie jest dostateczną do wprowadzenia woli nieboszczyka w życie i dopiero wzmocnioną będzie nowemi legatami.

Zapadające w sen letni miasto nasze o-

---

*) Rosya może teoretycznie wystawić 10 milionów żołnierza.

---

3)

PRZEŁOM.

(Obrazek z notat psychologa).

(Ciąg dalszy).

Pan w szkarłatach i złocie zbliżył się tymczasem do Małgosi, ze śpiewanemi słowami i wyciągniętem ramieniem, a ona, matka jej, odrzekła mu coś swym słowiczym, jak dźwięk najczystszego srebra, daleko rozlegającym się głosem i odsunąwszy się skromnie, przeszła za kulisy.

Zniknęła.

Wraz z nią zbladło dla dziecka jej światło na scenie. Inia, aby ukryć łzy, pochyliła się nad librettem, szukając wyrazów przez matkę śpiewanych:

„Jam nie dama, nie piękna i chcę zostać samą,
Więc niepotrzebnie panie, pragniesz trudzić się“.

Znała te słowa i ich muzykę. Wszak jeszcze przed paru dniami matka, przyszedłszy odwiedzić ją na chwilę, nuciła je po francusku:

„Je ne suis ni demoiselle, ni belle...“

I zajęta była więcej pieśnią ową niż nią, własną, a dwa lata niewidzianą córką. W ogóle, wróciła z zagranicy zmieniona, inna zupełnie. Ta dama piękna, strojna, roztargniona, znajdująca nie w nich, nie w dzieciach, lecz w śpiewie, w sztuce, swój cel i słońce, a w karyerze scenicznej uwieńczenie życia, obcą była dziewczęciu. Dawną matkę odnajdywała Inia dopiero tu, w tej istocie o oczach skromnie spuszczonych i prostej białej szacie, która jej przypominała, artystyczne smakiem, choć własną ręką szyte, domowe suknie matki. — I dlatego serce dziecka więcej rwało się do niej w tej chwili. Ta mama, taka poważna i spokojna, spostrzegłaby od razu, że córce jej, piętnastoletniej, a nad wiek rozwiniętej, smutno być musi w owych murach ciężkich, gdzie brak jej było i ciepła i wesela i szczebiotu rówieśnic. Wprawdzie, zarówno siostra Teresa, jak wszystkie zakonnice okazywały Jadwini wiele dobroci, a przełożona, która była jej ciotką, obracała cały czas wolny i wszelkie posiadane fundusze na kształcenie młodej jej główki; lecz takie przedwczesne właśnie rozwinięcie umysłu, tem więcej rozegzaltowało charakter dziewczynki i oddaloną matkę oraz poświęcenie jej dla rodziny idealizować kazało.

Tymczasem matka ta, po powrocie wpadała jak błyskawica do celi klasztornej, nie patrzyła nawet na nią uważnie, lecz rozgorączkowana, niespokojna, mówiła ciągle o przyszłości, o karyerze scenicznej, o zbieraniu pieniędzy dla nich, dla nich, dla dzieci swoich!.... Muszą otrzymać staranną edukacyę, muszą znów być razem. I tuliła córkę do serca, namiętnie gwałtownie; roztargniona, obsypywała ją pocałunkami, ale z myślą zajętą czem innem: oklaskami, powodzeniem, złotem...

— Jadwiniu! — przerwał zadumę jej głos ojca — akt się skończył; idę do mamy, a powrócę po ciebie dopiero pod koniec sztuki. Cofnij się w głąb, aby nie widziano, że jesteś sama.

I wyszedł szybko.

Dziewczę, powstawszy, powiodło okiem po sali, lecz, olśnione, usunęło się z pod ognia spojrzeń w ciemniejsze zagłębienie loży. Rączka jej przysłoniła oczy. Z ciszy klasztornej tu, do opery, przeskok był zbyt nagły. Odurzona więc, jakimś mimowolnym lękiem przejęta, biegła myślą nie w przyszłość, lecz do przeszłości, tej cichej, spokojnej, w której nie zostawiano jej nigdy samej...

Zresztą, nie mogła mieć ojcu za złe, że wyszedł, bo tam, przy matce jej było właściwe jego miejsce. Wszak spostrzegła, że i on na widok Małgosi pobladł śmiertelnie. Starszy jednak, opanował wrażenie, przełamał uczucia i walkę wrzącą w duszy, by poszedłszy za kulisy, osłonić żonę w tej pierwszej chwili próby puklerzem swej powagi i ramienia.

Jadwinia oczy przymknęła. Widziała ciche ognisko ich przed dwoma laty, matkę w świetle lampy z rozpuszczonemi złotemi włosami, w takiej prostej, jak dziś, białej, domowej sukni. Prześliczną była; trzymała ją w pół, przytuloną do siebie i czytały razem. Ojciec, chodzący dokoła stołu, zatrzymał się nagle i obejmując je jednym uściskiem, dowodził, że wyglądają jak dwie siostry, że możnaby je malować w tej pozie.

Widziała teraz jeszcze, jak w rzeczywistości, jak na jawie, wzrok jego szczęściem jaśniejący, rozkochany i promienne oblicze matki.

W tem zabrzmiała muzyka, zgaszono światła. Antrakt się skończył. Jadwinia wysunęła się żywo na front loży.

W źrenicach jej, utrwalony na siatkówce, tkwił wciąż obraz cichego, domowego szczęścia. Na scenie zaś krwawy, szkarłatem rażący, a szyderczy Mefistofeles zawodził swą pieśń kusicielską.

Salwa oklasków powitała znów jej matkę. Małgorzata, ta sama, jasna, cicha, pełna skromności i dziewiczego uroku, ta, którą ona niedawno „świętą“ nazwała, zajęła miejsce przy kołowrotku, a głos jej bogaty, przepyszny, zapełnił metalicznym dźwiękiem widownię. Raz nawet zdawało się Ini, że matka rzuciła ku niej tkliwe spojrzenie, że dla niej grała tylko... Czcze złudzenie!... Za balladą, śpiewaną przy kądzieli, rozległa się słynna arya z klejnotami...

Artystka, pochłonięta przez sztukę, nie widziała świata całego. Przystroiwszy się w zausznice i perły, przyklękała, patrzyła z kokieteryą w zwierciadełko, uśmiechała się radośnie do siebie; nagrodzona zaś burzą oklasków, kłaniała się, rzucając śmiałe, promienne spojrzenia całym szeregom panów, którzy jej huczne bili brawa.

Uśmiechnięta zalotnie, wyzywająco nieledwie, nie zwróciła ani razu oczów ku dziecku samotnemu, w którego wzroku koncentrowała się dusza cała, gorąca, nieszczęśliwa a czysta. Wobec zapomnienia tego, serce Ini ścisnęło się mimowoli.

Akcya tymczasem przyśpieszonem szła tętnem. Po kwartecie obu par, Małgorzata obrywa listki kwiatu, pytając: „On kocha, nie kocha mnie?“, a gdy Faust śpiewa:

„Kochać, to znaczy duszę swą
Karmić niebiańskich uczuć manną!...
Uroczo wiecznie żyć,
I rozkosz śnić
Bezustanną“.

Małgorzata zaś powtarza: „Bezustanną!“ i rzuca się w jego objęcia; lica Ini pobladły silniej jeszcze, a w oczach jej wielkich jakiś ból i trwoga odbiły się naprzemian.

Nie wzruszyła jej miłosna ekstaza, nie zadziwiał artyzm śpiewaczki, lecz przejmowała zdumieniem i trwogą, zmiana w niej zaszła. Małgorzata, śpiewająca:

„O luby mój, ja kocham cię!
Mów do mnie jeszcze,
Niech twą mową duszę pieszczę!...
Ach, dla ciebie ja umrzeć chcę!“

Tu Małgorzata namiętna, rozkochana, zawisła na szyi obcego mężczyzny, składająca z upojeniem głowę na jego piersi, wyrywająca się z więżących ją ramion i znów wracająca do nich — ta Małgorzata — nie była chyba jej matką....

(Dokończenie nastąpi).

żywiło się nieco wskutek przyjazdu egzotycznego gościa z krainy białych słoniów, z Siamu. Król Chulalongkorn I. zawitał wczoraj do Warszawy i zamieszkał w pałacu w Łazienkach. Po drodze do dworca kolei warszawsko-wiedeńskiej, to jest wzdłuż ulicy Marszałkowskiej, rozstawione było wojsko szpalerem. Przy okrzykach „hura!" władzca Siamu w towarzystwie jenerał-gubernatora księcia Imeretyńskiego podążał z liczną świtą swoją, budząc ciekawość nagromadzonych i wystających na chodnikach tłumów. Wieczorem gościł w teatrze, z którego podobno bardzo był zadowolony. Kupcy nasi i przemysłowcy obiecywali sobie dużo po tej wizycie, chociaż nie słychać, ażeby król Chulalongkorn poczynił jakieś większe zakupy. W każdym razie przybył on do nas w samą porę ogórkową, kiedy życie zamiera, więc też wdzięczni mu być powinni zwłaszcza reporterzy dziennikarscy.

Po za tem bowiem pora ogórkowa zapanowała prawie niepodzielnie. Nawet jedyne ogniska ożywienia: teatrzyki ogródkowe cierpią na brak nowości godnych zaznaczenia. W pogoni za oryginalnymi utworami puszczają się też dyrektorzy na wystawianie sztuk, które nigdy nie powinny były ujrzeć światła kinkietów. Upadła zatem komedyjka jednoaktowa Przybylskiego p. t.: „Tak to bywa", a już prawdziwą krzywdę wyrządzono zgasłemu niedawno Julianowi Łętowskiemu, sięgając do jego teki z lat młodzieńczych. „Droga do piekła", pisana wtedy, kiedy autor „Izraela na puszczy" miał lat 17, pomimo całego pietyzmu dla zmarłego sprawiła, że publiczność w środku sztuki gremialnie opuszczać zaczęła teatrzyk w Bagateli. Jedna tylko operetka lwowska ściąga elitę towarzystwa warszawskiego i wzbudza zachwyt „Powrotem taty" Jareckiego. To też trudna z nią rywalizacya i teatrowi łódzkiemu i poznańskiemu. Wadą tego ostatniego jest zaś głównie to, że do Warszawy przyjechał z repertoarem przygotowanym na Berlin, nie odpowiadającym wymaganiom tutejszym.

Tradycyjny obchód „Wianków" powiódł się w tym roku lepiej, aniżeli lat poprzednich. Na brzegu wystawały tysiące, ażeby podziwiać obfitość ogni bengalskich, korowodów, łodzi i przyglądać się dziarskim obertasom i Mazurom, tańczonym na pokładzie łódki przez towarzystwo dramatyczne p. Dobrzańskiego. W ogóle wioślarze ożywiają teraz naszą szarą i mętną Wisłę. Po wiankach mieliśmy regaty, zabawę co prawda dla widzów postronnych mocno nudną, ale dla członków towarzystwa wysoce emocyjującą, na jesień zaś przygotowuje się wielki zjazd wioślarzy nie tylko z kraju, ale i z zagranicy, z Pragi czeskiej i t. p.

Rozwiązanie kwestyi agrarnej
w Galicyi.

Pod tym tytułem wyszła właśnie z druku niewielka broszura, której autorem jest p. Stefan Koszarski były oficer francuski i kawaler legii honorowej. Zawiera ona myśli tak śmiałe, proponuje tak gruntowną zmianę stosunków gospodarczych naszego kraju, że warto się jej bliżej zapoznać.

Autor wychodzi z tego założenia, że po[illegible] stanu gospodarstwa rolnego w Galicyi [illegible] chłopstwa i niegospodarności właścicieli większych obszarów. Rozdrobnienie gospodarstw wytwarza proletaryat wiejski i skłania włościan do emigracyi, gdyż rozdrobnione posiadłości wiejskie nie są już w stanie wyżywić mnożących się rodzin i uniemożliwiają racyonalną gospodarkę.

Tymczasem, gdy ludność włościańska z trudnością gnieździ się na ciasnych przestrzeniach, w posiadłościach wielkich ogromne obszary niezaludnione marnieją w nieużytkach, albo przynoszą tylko nieznaczną produkcyę, gdyż właściciele ich nie mają potrzebnego kapitału [illegible] przy[illegible] ażeby [illegible] dzielić [illegible] i wy[illegible] inteligentnym i pracowitym, których należałoby wybierać w okolicach przeludnionych i przenosić na nowo utworzone osady jako dzierżawców, po zawarciu z nimi kontraktów. — Że myśl taka nie jest nieziszczalną utopią, powołuje się autor na przykład Francyi, gdzie z reguły właściciele większych posiadłości nie zajmują się sami uprawą ziemi, lecz dzielą je na folwarki od 20 do 50 hektarów i wydzierżawiają włościanom, którzy płacą im za to czynsz, albo dzielą się z nimi połową zbioru.

Ażeby na takich nowoutworzonych zagrodach można prowadzić racyonalne gospodarstwo postępowe, na to potrzeba wkładów. Autor oblicza potrzebny wkład po 100 złr. na morg, a zatem 20 morgowa zagroda wymaga 2000 złr. wkładu. Z tej kwoty należy — zdaniem autora — przeznaczyć połowę na zakupno inwentarza, sztucznych nawozów, zasiewów itp., tudzież na opłatę asekuracyi, podatku i zabezpieczenie życia osadnika w pierwszym roku dzierżawy, — drugą zaś połowę na wystawienie murowanych budynków gospodarskich, materyałem ogniotrwałym. — Biorąc za przykład stosunki francuskie, w Wandei, wykazuje autor że 20 morgową przestrzeń może uprawiać jedna rodzina włościańska bez parobków.

Celem przeprowadzenia tej wielkiej reformy musiałoby się utworzyć wielkie Towarzystwo pod opieką i kierunkiem Wydziału krajowego. Musiałoby ono rozporządzać wielkim kapitałem (autor podaje go na 100 milionów złr.)

Zadaniem tego Towarzystwa byłoby tworzenie zagród, pośredniczenie między właścicielami majątków a przyszłymi dzierżawcami, wybieranie i sprowadzanie tych dzierżawców na tworzące się zagrody, udzielanie pożyczek hipotecznych, potrzebnych na założenie każdej zagrody, chronienie włościan od długów lichwiarskich, a nadto czuwanie nad tem, aby kapitał wkładowy był stosownie użyty, kontrola nad robotami, gospodarką, zachowaniem się dzierżawców, pouczanie ich itd. — Z dochodów prowadzonego pod taką kontrolą gospodarstwa spłaciłby zagrodnik swoją część pożyczki i po spłaceniu jej stałby się właścicielem inwentarza, właściciel zaś majątku po spłaceniu swojej części stałby się właścicielem budynków.

W dalszym ciągu zastanawia się autor nad trudnościami na jakie napotkać musi takie olbrzymie przedsięwzięcie i dochodzi do wniosku, że przy dobrej woli trudności te dadzą się przezwyciężyć. Kapitał potrzebny znajdzie się, jeżeli nie w kraju, to za granicą, w Anglii, Belgii lub Francyi. Pożyczka nie powinna nikogo przestraszać, gdyż tego rodzaju kredyt zwiększa bogactwo kraju. Tylko państwa zupełnie zaniedbane pod względem ekonomicznym jak np. Persya nie mają żadnego długu publicznego. Rosya zaś np. od r. 1867 do 1894 zaciągnęła za granicą ośmnaście pożyczek i obcymi kapitałami zwiększyła niesłychanie swą potęgę i swe bogactwo.

Drugie pytanie, które autor sobie zadaje, jest, czy gospodarstwo postępowe na mających się tworzyć zagrodach, prowadzone pod nadzorem i kierunkiem owego Towarzystwa, przyniesie dochody, wystarczające i na wyżywienie rodziny osadnika, i na opłacenie raty dzierżawnej właścicielowi, na opłacenie pr centu i umorzenie zaciągniętej pożyczki.

Otóż zdaniem autora ścisłe rozwiązanie tego pytania może nastąpić dopiero na podstawie doświadczeń praktycznych, przeprowadzonych na próbę w kilku miejscowościach, w każdym razie atoli już dziś można przypuścić, że skoro w Anglii, Belgii, Francyi, Niemczech i innych krajach gospodarstwo postępowe potraja dochody z ziemi, to wedle wszelkiego prawdopodobieństwa i u nas powinno się dobrze opłacać.

Wreszcie rozbiera autor także kwestyę, czy inteligencya włościanina galicyjskiego, Mazura lub Rusina, pozwala na przeprowadzenie tak ważnej reformy agrarnej i dochodzi do konkluzyi, że chłop polski jest z natury rozumny i inteligentny, więc gdy się poduczy i pozna korzyści gospodarstwa postępowego, będzie tak samo dobrym rolnikiem postępowym, jak jest wiernym sługą i dobrym żołnierzem.

W końcu przeprowadza autor w przybliżeniu cyfrowe obliczenie efektu projektowanej reformy. Zagroda 20 morgowa, wedle tego obliczenia, może wyżywić rodzinę włościańską i przynieść dochodu brutto z pewnością 800 zł. przy gospodarstwie postępowem. Rozchody zaś wyniosą około 550 zł., a mianowicie czynsz dzierżawny 300 zł. (po 15 zł. za morg), podatki i asekuracye 100 zł., zaś oprocentowanie i umorzenie kapitału wkładowego 150 zł. A zatem dzierżawca miałby: czystego zysku co najmniej 250 zł. rocznie, utrzymanie dla całej rodziny, a nadto po spłacie pożyczki stałby się właścicielem inwentarza.

Wreszcie nadmienia autor, że byłoby do życzenia, aby owo Towarzystwo z sumy opłacanej przez dzierżawców na oprocentowanie i umorzenie kapitału wkładowego, odkładało pewną cząstkę na utworzenie funduszu emerytalnego dla zapewnienia bytu włościanina dzierżawcy na starość lub wypłacenia mu jednorazowego kapitału po pewnej liczbie lat dzierżawy, zapewnienia losu jego wdowie i dawania mu zapomogi w razie klęski. Byłoby to dla włościan ogromną zachętą, gdyż takich korzyści nie znaleźliby ani w służbie ani w niestałej pracy zarobkowej.

Oto są główne myśli broszury p. Koszarskiego. Niejednego przestraszą one może, nam jednak wydają się jako zasługujące na to, aby je wziąć pod gruntowną rozwagę. Położenie kraju pogarsza się z każdym rokiem i zaiste trzeba śmiałych środków, aby je zmienić na lepsze. Dziś cierpią i włościanie i właściciele większych posiadłości. Dawny system wypuszczania całych majętności tabularnych w dzierżawę może popłacał za czasów pańszczyźnianych, dziś jednak jest wręcz szkodliwym. Dzierżawca bowiem dba tylko o to, aby wydzierżawioną ziemię szybko wyeksploatować, właściciel jej zaś ma z niej tylko nieznaczny dochód. W niektórych okolicach czynsz dzierżawny wynosi już zaledwie 5 zł. z morga. W razie potworzenia proponowanych folwarków włościańskich dochód właściciela ziemi mógłby się i potroić, a wartość samej substancyi wzrosłaby ogromnie. Tak samo dobrze wyszliby na tem włościanie. Jakże zmieniłaby się fizyognomia kraju, gdyby na pustych dziś obszarach rozsiadło się kikadziesiąt tysięcy zamożnych rodzin włościańskich, zadowolonych ze swej egzystencyi, a więc usposobionych konserwatywnie i tworzących najsilniejszą zaporę dla radykalnej agitacyi wśród włościan. Wtedy teorye wywrotowe miałyby o wiele trudniejszy przystęp do naszych włościan, bo wśród samych włościan znalazłyby stanowczych przeciwników.

Samochodem do Paryża.

P. Zygmunt Naimski, współpracownik *Cyklisty* pisze z drogi co następuje:

Punktualnie o godz. 8-ej zrana wysuwamy się z Warszawy przez ulice: Żabią, Mirowską, Chłodną, przez rogatkę Wolską — na szosę. Na Woli dopędza nas na rowerze p. Poturaj-Turczyński, który umyślnie wybrał się na wycieczkę do Kalisza, aby módz nas „po drodze" odprowadzić choć do pierwszego etapu w Kutnie. Na początku 10-ej wiorsty, gdzie właściwa zaczyna się dopiero szosa, stajemy. Tu miejsce pożegnania z gronem odprowadzających nas przyjaciół. Po kwadransie postoju ruszamy w dalszą drogę już sami, sekundowani tylko przez p. Poturaja, który z samochodu korzysta, jako z leadera, i chowając się po za nim przed ostrym wiatrem, wybornie w każdem tempie biegu powozu dotrzymuje mu placu. Jedziemy doskonale, o ile zresztą na to pozwala mocno wyboista szosa i mnóstwo co kilkanaście sążni wlokących się furmanek z cegłą.

O godzinie 10-ej zrana mijamy Błonie, a o godz. 11-ej m. 30 przejeżdżamy przez Sochaczew, eskortowani przez liczne grono dzieciarni szabasujących mieszkańców tego miasta, dla których zresztą samochód nie jest już pierwszyzną, bo się z nim poznali na jednej z krótszych wycieczek p. Grodzkiego. Pod Kozłowem Szlacheckim przystajemy o godz. 11-ej m. 40, bo oto upłynęły już cztery godziny od wyjazdu z Warszawy, przeciąg czasu, w którym benzyna w palnikach i oliwa w oliwiarce się wyczerpuje. Trzeba zasilić jedne i drugą, co nie zajmuje mechanikowi więcej, jak 5 minut — i znów, zaopatrzeni na dalsze cztery godziny, szybko przekraczamy granicę księstwa łowickiego z czworokątnym słupem o żelaznym napisie, dążąc ku Łowiczowi.

Od samej Warszawy żniwa wszędzie rozpoczęte. Tu żną sierpem żyto, ówdzie wiążą snopy, gdzieindziej już je ustawiają w mędle lub zwożą do stert i stodół z pola. Kraśne księżanki wykwitają ze złocistych łanów, niby maki polne, od których czerwienią się znów grochy przy drodze. Wszędzie kędy przejeżdżamy — sensacya! „Ludzie" odbiegają od roboty, ażeby się nam bliżej nad drogą przyjrzeć, z chat i zabudowań gospodarczych wychodzą starzy i dziatwa, pokazując sobie jedni drugim dziwny powóz, co jedzie bez koni. Psy uciekają nietyle na nasz widok, ile na hałas, sprawiany biegiem samochodu; konie lękają się i szarpią u dyszla, niekiedy zjeżdżają nawet z drogi.

O godz. 1-ej min. 30 po południu przystajęmy chwilowo na rynku w Łowiczu przed „kupcem", ażeby dać możność posilenia się towarzyszącemu nam rowerzyście, który przy tak forsownej jeździe nabrał nielada apetytu. Tutaj obstępuje nas odrazu gromada mieszczan z dorożkarzami miejscowymi na czele.

— A dziękować Bogu — mówią — i my nareszcie zobaczyliśmy tę wymyślną maszynę, co ją wcześniej widzieli sochaczewscy. A dawno już na to czekalim.

— Będziemy tu teraz częściej przyjeżdżali — odpowiadamy — ale jak wrócimy z Paryża.

— To panowie aż do Paryża jadą... olaboga.

A jedziemy i jedziemy wciąż bardzo pomyślnie, równo, mimo silnego bardzo wiatru i bardzo nierównej szosy, na przestrzeni Łowicz-Kutno utrzymanej niedbale. Mniej więcej w połowie drogi trudno nam wybrnąć z pokładu ziemi i szabru; naprawiają ją bowiem w tem miejscu na przestrzeni przeszło wiorsty.

Dojeżdżamy do Kutna. Snadź pantoflową pocztą zawiadomione o przejeździe niewidzianego tu jeszcze ekwipażu, miejscowe pospólstwo żydowskie wyległo tłumnie na nasze spotkanie... Na ulicach czerni się tłum wyrostków; w oknach i na gankach domów pełno wszędzie ciekawych widzów, którzy widocznie „nas urzekli". Bo nagle, na samym środku rynku kutnowskiego, łańcuch z powodu fatalnie wyboistego bruku spada nam z prawego tylnego koła. Więc przymusowy przystanek pośród ciżby ciekawych, wrzaskliwej i natrętnej. Po kwadransie udaje się mechanikowi łańcuch na tryby nałożyć, ruszamy więc w dalszą drogę i o godzinie 3 m. 40 po południu zajeżdżamy przed dwór w Gnojnie, majątku pod Kutnem, będący naszym pierwszym etapem i kresem pierwszego dnia podróży. Pod dachem państwa bar. Zygmuntostwa Danglów znajdujemy miłą gościnność i.... nowy zapas benzyny.

Dziś więc przejechaliśmy ogółem 120 kilometrów w ciągu 6 godzin i 55 minut, wyłączając tylko 45 minut trwające przystanki. Średnia więc szybkość jazdy wypadła 17·34 kilometrów na godzinę.

Jutro (w niedzielę) rano o godzinie 6-tej z rana, wyruszamy dalej ku Poznaniowi, a marszruta nasza wykazuje do przybycia w ciągu dnia 172 kilometrów przez: Krośniewice, Kłodawę, Koło, Konin, Słupcę (granica), Brzezinę i Kostrzyn do Poznania.

We wtorek po południu staniemy w Berlinie.

Audyencya u cesarza chińskiego.

Nieszczęśliwy wynik wojny z Japonją miał ten dodatni skutek, iż rząd chiński postanowił zerwać z dotychczasową tradycyą separatyzmu i przyswoić sobie zdobycze cywilizacyjne zachodu, by przy ich pomocy dojść do poprawy stosunków krajowych. Wobec tego stanu rzeczy i niedającej się wykluczyć możliwości, iż krocząc tą drogą dalej, kiedyś w przyszłości państwo chińskie otworzy swe dotychczas zamknięte bramy, na rozcież, zdecydowała się monarchia austro-węgierska utworzyć przy dworze chińskim specyalne poselstwo z siedzibą w Pekinie, dotychczas bowiem zastępywał naszą monarchię jeden poseł dla Chin, Japonii i Siamu, z siedzibą w Tokio, co naturalnie niemogło się przyczynić do nawiązania ściślejszych stosunków z państwem „syna słońca". Ubiegłej więc zimy zamianował Cesarz barona Czikann de Wahlborna posłem dla Chin z siedzibą w Pekinie.

Ażeby temu krokowi nadać więcej ważności, odbyła się instalacya austro-węgierskiego posła w Pekinie z stosowną okazałością. Nowego posła przywiózł na wybrzeże chińskie krzyżowiec wojenny „Cesarz Franciszek Józef". W porcie Tschifu opuścił baron Czikann okręt austryacki i odbył dalszą podróż morską do Tientsin w towarzystwie przydzielonych mu urzędników legacyjnych i konwojującej go straży honorowej, na małym okręcie chińskim. Lądową drogę odbyto już to koleją, lub też w lektykach. Po podróży rozpoczętej w Poli 14 lutego, przybył nasz poseł do Pekinu dnia 22 maja br., lecz z powodu nieuniknionych w tym wypadku rokowań przedwstępnych i nieobecności cesarza chińskiego w stolicy odbyła się pierwsza uroczysta audyencya dopiero dnia 11 czerwca.

Jeden z członków austryackiego poselstwa tak opisuje tę audyencyę:

W dzień przyjęcia przybyli o godzinie 8 rano do austryackiego posła, który na razie zamieszkał w poselstwie hiszpańskiem, urzędnicy Tsungli Yamen (ministerstwa spraw zewnętrznych) i przypomnieli mu, iż cesarz chiński naznaczył audyencyę na godzinę 11 przed południem.

Rano ustawiono na podwórzu poselstwa lektyki, które miały przenieść posła oraz członków legacyi austro-węgierskiej do pałacu cesarskiego. O godzinie ½10 ruszył pochód. Na czele jechali dwaj Chińczycy odziani w białe bluzy i niebieskie spodnie, za nimi niesiono w lektykach barona Czikanna i dwunastu członków legacyi austryackiej. Obok nich postępowała straż honorowa składająca się z majtków austryackich. Pochód zamykał jeździec. Na ulicach Pekinu ustawiły się tłumy publiczności, które z uprzejmością rozstępywały się przed pochodem. Droga prowadziła wzdłuż muru „miasta pałaców" i przez wschodnią bramę do miasta purpurowego. Pekin bowiem składa się z czterech miast, które stanowią obok siebie odrębne całości. I tak: „miasto Chińczyków", następnie arystokratyczne „tatarskie miasto", zaś w środku „miasta pałaców", w którem mieszkają wyłącznie dygnitarze dworscy, znajduje się „miasto purpurowe", w którego centrum mieszczą się pałace cesarskie.

W „mieście pałaców" utworzyło wojsko chińskie szpaler. Żołnierze odziani w mundury niebieskie, nie prezentują się wcale dzielnie; opierali się oni na obnażonych, rdzą pokrytych mieczach, które więcej do lasek, jak do broni były podobne. Przed bramą do miasta purpurowego, gdzie powitał posła austryackiego nader uniżenie marszałek pałaców cesarskich wysiedli panowie z lektyk i otoczeni strażą honorową weszli na olbrzymi dziedziniec pałacowy, w którym było ustawione wojsko. W samym środku podwórza powitali posła wuj cesarza książę Ching i minister spraw zewnętrznych Li-Hun-Chang. Ci wprowadzili członków legacyi do małego pawilonu, gdzie im podano herbatę i papierosy, podczas gdy chińscy dostojnicy puszczali kłęby dymu z nargilów.

Książę Ching, bardzo inteligentnie wyglądający, około 60 letni mężczyzna, zabawiał się rozmową z br. Czikanem, podczas której fungował jako tłumacz radca legacyjny dr. v. Rosthorn, władający doskonale językiem chińskim. Przedmiot rozmowy stanowiły wzajemne dopytywania się o stan zdrowia, o szczegóły podróży itp. Nareszcie upłynął etykietą przepisany czas czekania.

Książę Ching poszedł zawiadomić cesarza o przybyciu gości. Zaprowadzono ich do drugiego pawilonu, który się znajdował w połowie drogi do hali audyencyjnej i podano im znowu chłodniki. Po długiej chwili wyczekiwania wszedł do pawilonu dygnitarz cesarski i oświadczył, że cesarz prosi. Członkowie legacyi weszli na drugą część podwórza, gdzie znowu ustawione było wojsko. Przed stopniami wiodącemi do hali tronowej siedzieli na osiodłanych koniach gońcy dworscy, którzy według starego zwyczaju, mają polecenie zawiadamiać naród o ważnych wypadkach. Po schodach weszli członkowie poselstwa do hali tronowej. Na wzniesieniu udrapowanem żółtym adamaszkiem ustawiony był stół, na nim zaś złote naczynia, wazy i t. p. Za stołem siedział cesarz na żółtym tronie. Po obu jego bokach stali, jakby dla zachowania symetryi, książęta, zaś w hali ugrupowali się ministrowie i najwyżsi dygnitarze.

Mimo swych kolosalnych rozmiarów, nie robi hala na widzu wrażenia, brak jej przepychu królewskiego. Na ścianach wiszą tabliczki z chińskiemi przysłowiami, zaś nad tronem potężna tablica z napisem „10.000 lat", tyle lat życzy sobie żyć cesarz chiński

Cesarz i książęta ubrani są w suknie jedwabne, koloru ciemno-fioletowego, na głowie noszą słomiane kapelusze. Wrażenie jakie robi cesarz Kuang Usli, jest bardzo sympatyczne. Twarz jego koloru ciemno-żółtego o regularnych rysach, jest nadzwyczaj starannie wygoloną. Liczy on 26 lat.

Br. Czikann zbliżył się do tronu, ukłonił się, jak etykieta dworu chińskiego dyktuje, trzy razy i zatrzymał się tuż przed cesarzem. Za nim stanęła reszta panów. Książę Ching ukląkł przed cesarzem, wymienił mu nazwisko posła, który wygłosił mowę powitalną w języku niemieckim. Dr. Rosthorn przetłumaczył ją natychmiast na język chiński. Br. Czikann wręczył księciu pismo uwierzytelniające, które ten wśród głębokich ukłonów złożył na stole przed cesarzem. Teraz odpowiedział na mowę posła cesarz donośnym głosem, naturalnie po chińsku. Z tłumaczenia dr. Rosthorna dowiedział się br. Czikan, iż cesarz wyraził swą radość z powodu nawiązania przyjacielskich stosunków z monarchią austro-węgierską. Cesarz skinął, posłowie ukłonili się trzy razy i audyencya się skończyła. Przez cały czas przyglądał się cesarz ciekawie swym gościom.

Audyencya wywarła na gościach austryackich głębokie wrażenie, a podwajało się ono świadomością tego, iż stali przed obliczem monarchy, który dla swych 400 milionów poddanych jest zupełnie niewidzialnym.

KRONIKA.

Lwów 15 lipca.

Minister dla Galicyi p. Edward Rittner i jego małżonka obchodzą jutro 25 letnią rocznicę ślubów małżeńskich.

Wiceprezydent kraj. Rady szkolnej dr. Bobrzyński wyjechał za urlopem na kilka tygodni do kąpieli morskich w Odessie.

Przeniesienia. Minister sprawiedliwości przeniósł notaryuszów Marcelego Gorączkę z Krościenka do Oświęcima i dr. Artura Weigla z Czarnego Dunajca do Nowego Targu.

W sprawie gimnazyum cieszyńskiego donosi *Fremdenblatt*: „Z najwiarygodniejszego źródła otrzymujemy wiadomość, iż dotychczas w sprawie prawa publiczności dla polskiego gimnazyum w Cieszynie nie zapadła żadna decyzya. Do decyzyi potrzebną jest dalsza inspekcya zakładu, która nastąpi w ciągu października. Wszystkie do tej sprawy przywiązywane kombinacye są bezzasadne".

Do Lwowa nadszedł taki telegram z Cieszyna: „Telegramy z Wiednia o nadaniu prawa publiczności gimnazyum polskiemu w jesieni, są obłudne i obliczone na tumanienie społeczeństwa polskiego. *Ks. Londzin*, sekretarz Macierzy".

Konkursa rozpisują: Starostwo w Bochni na otworzyć się mającą aptekę w Łapanowie (powiat sądowy Wiśnicz). Termin do 15 sierpnia. — Rada szkolna krajowa na posadę nauczyciela filologii klasycznej i języka polskiego w gimnazyum św. Jacka w Krakowie. Termin do 31 bm. — Dyrekcya poczt i telegrafów na posadę ekspedyenta w Ihrowicy w pow. tarnopolskim z poborami 430 zł. Termin do 25 b. m. — W Rozdole, w skarbie hr. Lanckorońskiego, wakuje posada lekarza. Płaca 500 zł., dom mieszkalny z ogrodem i opał. Zgłoszenia przyjmuje dr. Jakliński w Komarnie.

Subwencya rządowa na Wawel. Na podstawie rozporządzenia cesarskiego przeznaczył rząd dwieście tysięcy zł. na restauracyę katedralnego kościoła na Wawelu.

Na cześć Mickiewicza postanowili Polacy w Wilnie ufundować popiersie poety i wmurować je w miejscowym kościele św. Jana, zaś Polacy w Nowogródku umieszczą taką samą pamiątkę w kościele parafialnym.

W żeńskiem Seminaryum nauczycielskiem do egzaminu dojrzałości zgłosiło się 159 abituryentek. Przy egzaminie padło tylko 7 eksternistek. Chlubne to świadectwo dla grona profesorskiego tego Seminaryum.

Zakończenie roku w żeńskiej szkole miejskiej im Elżbiety odbyło się wczoraj. W wielkiej sali gimnastycznej zebrali się delegaci gminy, całe grono nauczycielskie, dziatwa wszystkich ośmiu klas, tudzież bardzo wiele osób starszych Czerstwe, rumiane twarzyczki dziewczątek świadczyły wymownie o tem, że całoroczny pobyt w murach szkolnych nie przyniósł ich zdrowiu żadnej ujmy. Za sześć tygodni znów tu powrócą, ale już nie wszystkie. Panienki z klasy ósmej i siódmej po raz ostatni wczoraj tu się zebrały, od tej pory rozchodzą się drogi wielu z nich; jedne odbywać będą dalsze studya w wyższych zakładach naukowych, inne pomagać będą matkom w gospodarstwie domowem, a nie brak i takich, które już same na chleb będą musiały zarabiać. Do tych opuszczających zakład uczenic zwrócił się z serdeczną przemową ich katecheta, ks Wiktor Wojdag, wygnaniec z Litwy. Imieniem całego grona nauczycielskiego złożył świadectwo, że przez cały czas pobytu w szkole wiele pociech swym nauczycielkom sprawiały, że były dobremi dziećmi, a zatem można się spodziewać, że ziarno rzucone w ich młodociane dusze w szkole, nie pójdzie na marne, lecz wyda plon obfity. Jako dobre chrześcijanki powinny zachować najpiękniejszą cnotę chrześcijańską, to jest wdzięczność. Winny ją zaś zacnej kierowniczce szkoły p. Sabinie Hoffman i wszystkim nauczycielkom, które przez tyle lat nad niemi pracowały, winne ją także miastu, które nie szczędzi żadnych ofiar, aby szkoły doprowadzić na najwyższy stopień doskonałości i pod tym względem przoduje innym, zasobniejszym może miastom europejskim. W końcu pobłogosławił sługa Boży swoje wychowanki na dalszą drogę życia. Te serdeczne słowa kapłana wywarły głębokie wrażenie na wszystkich, niejedna z panienek nie mogła wstrzymać się od płaczu. Po oficyalnem zamknięciu uroczystości rozpoczęła się czuła scena pożegnania. Jak do matki garnęły się panienki do kierowniczki szkoły, całowały ją po rękach, żegnały się również ze swym duchowym przewodnikiem i z innemi nauczycielkami. W jednej z sal szkolnych urządzona była wystawa robót dzieci szkolnych, a była prawdziwie imponującą. Roboty szydełkowe, wyszywania, kilimy, drogie hafty, makaty, poduszki; wszystko wykonane było prześlicznie.

Mianowania. Komendantem lwowskiego oddziału policyjnego, został mianowany nadporucznik Witold Dunin Wąsowicz, który już od kilku lat pracuje na tem stanowisku prowizorycznie. — Rewident rachunkowy wyższego sądu kraj. w Krakowie, Rudolf Stenzel, przy przejściu na emerytnrę, otrzymał tytuł radcy rachunkowego.

Obdukcyi sądowej zwłok ś. p. Misonównej dokonali wczoraj, w obecności sędziego śledczego Dr. Bartha, lekarz powiatowy Dr. Ferdynand Obtułowicz i lekarz sądowy Dr. Chomin. Protokółu obdukcyi, jako dokumentu podlegającego tajemnicy urzędowej, nie możemy ogłosić w całem brzmieniu, główną jednak jego treścią jest, że Misonówna nie była w błogosławionym stanie. Wobec więc przeciwnych zeznań poczynionych przytomnie na łożu śmierci przez Misonównę w obecności kilku wiarygodnych osób, należy przypuszczać, że popchnęła ją do samobójstwa psychoza.

Koniec roku szkolnego. Za kilka dni Lwów, wyludniający się w sezonie letnim, opustoszeje jeszcze bardziej. Ulice przestaną się roić od sympatycznych niebieskich mundurków młodzieży szkolnej. Wczoraj otrzymali studenci świadectwa, a dziś i jutro większość ich wyjedzie na wieś, na wakacye. W rozpalonych żarem słonecznym murach miasta zostaną tylko ci, którym obowiązki nie pozwalają odetchnąć świeżem powietrzem wilegiatur, a los ich tem bardziej jest godny pożałowania, że 19 b. m. wyjeżdża też na wakacye prezydent m. dr. Małachowski, jak dotąd, jedyna skuteczna instancya w petycyach o obfitsze skrapianie zapylonych ulic.

Z Jaworowa nam piszą: Podczas odpustu św. Iwana, w przysiółku Poruby ustawili się kramarze żydowscy tuż pod cerkwią i podczas nabożeństwa w hałaśliwy sposób zalecali swój towar. Starsi gospodarze zwracali uwagę kramarzy na niestosowność ich postępowania i radzili im, ażeby odłożyli wysprzedaż towarów do chwili, kiedy się nabożeństwo skończy. Kramarze nie usłuchali tej rady, wskutek czego kilku parobczaków uderzyło na wozy kramarskie i wyrzuciło towary poza obręb dziedzińca cerkiewnego. Szkodę, którą kramarze ponieśli, muszą sobie sami przypisać, gdyż gdyby uczynili zadość słusznym uwagom rozsądnych gospodarzy, nie daliby sposobności do ekscesów.

Do Krynicy przybyło w czasie do 7 b. m. 1497 osób.

Trzy pojedynki jednego dnia odbyły się 10 lipca w Katanii (we Włoszech południowych) i to między samymi dziennikarzami, w skutek gwałtownych polemik dziennikarskich. Pokłóciły się mianowicie dwa dzienniki: republikański *Unione* i monarchistyczny *Sentinella*. Wskutek tego trzy pary przeciwników stanęły do pojedynku. Pierwszy pojedynek odbył się między de Felice, współpracownikiem *Unione* a Santacrocem, współpracownikiem *Sentinelli* a zakończył się w ten sposób, że Santacroce odniósł ciężką ranę w szyję. W drugim pojedynku redakcyę *Unione* reprezentował Zocco a *Sentinellę* Cordaro; był to pojedynek na szpady. Po kilku ułożeniach obaj przeciwnicy odnieśli ranę w ramię. W trzecim na szable występował ze strony *Unione* Montandon, ze strony *Sentinelli* Villaruel; pierwszy został lekko ranny w twarz, a drugi w rękę. Na tem jednak nie koniec, gdyż podobno mają się odbyć jeszcze dwa nowe pojedynki.

Straszny grad nawiedził w ostatnich dniach Wirtembergię. Szkodę, stąd powstałą, obliczają na 50 milionów marek.

Rozmowa z Pobiedonescewem. W dzienniku włoskim *Corriere della Sera* w numerze 183, znajdujemy interesujący *interview*, jaki miał dziennikarz włoski z Pobiedonoscewem, oberprokurorem św. synodu, znanym propagatorem prawosławia w ziemiach polskich, a najwścieklejszym wrogiem unitów. Przytaczamy ciekawsze ustępy, dotyczące nas Polaków i przekonań, jakie prokuror świętego synodu prawosławnego ma o kościele katolickim.

Dziennikarz włoski tak wpierw określa charakter i znaczenie Pobiedonoscewa:

„Jest to człowiek straszny, siejący w okół postrach, wielki inkwizytor, około którego głowy jęki księży polskich, zesłanych do kopalń sybirskich, utworzyły legendę. (*l'uomo terribile, l'essere pauroso, il grande Inquisitore, al cui capo il gemito dei preti polachi nelle miniere siberiche hanno creato la leggenda*)".

Rozmowa zaś, która się pomiędzy nimi toczyła, była następująca. Pobiedonoscew mówił:

— „Czasy nasze są złe, bogate w słowa, ubogie w idee, ponieważ brak im wiary. Brak jej.. w waszych krajach. U nas nie jest jeszcze tak i nie będzie, dopóki zachowanie wiary pozostanie artykułem fundamentalnym polityki rosyjskiej".

— „Ale zachowanie wiary — rzekł dziennikarz — nie powinno doprowadzać do nietolerancyi religijnej, do walki przeciw narodowości i do ruiny ekonomicznej. Hiszpania jest tutaj przykładem..."

— „Hiszpania nie świadczy o niczem. My Rosyanie nie wiemy, co to fanatyzm religijny. Chcesz pan przykładu? Kościół katolicki rzuca anatema na tych katolików, którzy wejdą do kościoła prawosławnego. Natomiast nam prawosławnym wolno bez kar kościelnych bywać w kościołach katolickich. Ja sam, jeżeli wyjątkowo znajdę się w kraju, gdzie nie ma kościołów naszego obrządku, idę do kościoła katolickiego i co więcej, przyjmuję w nim komunię podług formy przepisanej przez Kościół katolicki. Nie, fanatykami nie jesteśmy, są nimi katolicy... Leon XIII, umysł tak potężny, nie ustaje w usiłowaniach połączenia naszego kościoła z katolickim; będąc na bankiecie, który wydano na cześć legata papieskiego, nuncyusza Agliardi'ego, zadowoliłem się toastem wniesionym na cześć *hominum bonae voluntatis*. Czy mnie wówczas zrozumiano?... U nas jest katolicyzm z małemi wyjątkami synonimem Polaka. Czyżbyśmy mieli na to pozwolić, aby duch polski, wyniosły, lubujący się w powierzchowności i w przepychu, zwyciężył nad duchem rosyjskim odważnym, prostym i pobożnym?"

Dwa wypadki nagłej śmierci wydarzyły się wczoraj we Lwowie. Po południu zmarła Aniela Pasik, właścicielka domu pod l. 21 w Rynku; zaś wieczorem urzędnik bankowy, Krajewski wszedł do restauracyi p. Lityńskiego i zanim mu podano kolacyę, dostał wybuchu krwi i w chwilę potem skonał.

Pożary. Wczoraj wybuchł ogień na przedmieści mikulinieckiem w Tarnopolu w jednym z licznych tam składów jaj. Miejskiej straży pożarnej, która przybyła szybko na miejsce pożaru, udało się ogień zlokalizować.

Dziś po godzinie trzeciej nad ranem spalił się przy ulicy Piotra Skargi pod l. 6 we Lwowie dach pokrywający lodownię Schleichera. Na miejsce pożaru wyjechały trzy treny straży ogniowej miejskiej i ochotniczej, które ogień szybko ugasiły.

W Zawałowie, powiatu podhajeckiego dnia 7 bm. spaliły się całkowicie cztery zagrody włościańskie. Szkoda wynosi do 4000 zł. Pożar powstał przez nieostrożność dzieci, które bawiły się zapałkami. W akcyi ratunkowej pomógł wiele wachmistrz żandarmeryi Stanisław Maniowski i kierownik szkoły Stanisław Knop, którzy przybyli zaraz na miejsce pożaru ze sikawką i energicznem wystąpieniem z narażeniem zdrowia, dalszemu szerzeniu się pożaru zapobiegli, za co im w imieniu całej gminy publiczne podziękowanie składamy. — *Roman Berlun, Ambroży Morawski, Onyszko Didowa*, członkowie Rady gminnej.

Opryszki grasują od jakiegoś czasu w okolicy Grzymałowa i Tłustego. Przed dwoma miesiącami obrabowali i zabili pewnego włościanina w Poznance. Niedawno znowu obrabowali z korali kobietę, która wyszła w pole do roboty. W nocy z dnia 8 na 9 bm. usiłowali wtargnąć do cerkwi w Zielonej koło Grzymałowa. Przystawili drabiny i wyłamali już okno z ramami, ale szczekanie psów przeszkodziło im w dalszej operacyi. Aby nie zmarnować nocy, okradli jednego z gospodarzy, mieszkających w pobliżu, zabrawszy mu 40 sztuk płótna, kożuch i buty; u drugiego zaś rozbili już kłódkę od komory, ale szczekaniem psów zbudzony gospodarz spłoszył ich.

Skrytobójstwo. We wsi Mortyszczach koło Kałusza, na drodze wiodącej z Mortyszcz do Kopanek, zabił nieznany zbrodniarz Jana Jasińskiego, furmana ks. dziekana Różańskiego. Zwłoki znaleziono leżące na środku drogi, czaszka zabitego była roztrzaskana, a mózg rozprysnął się naokoło. Sprawcy zbrodni dotychczas jeszcze nie wykryto. Zabity był zagrodowym szlachcicem i miał w Bereźnicy koło Kałusza duży grunt, pomimo tego 23 lat służył u ks. Różańskiego. Wracał on z jakiegoś wesela w Kopankach i wówczas go zamordowano.

Tygrys pożarł żołnierza. Z Chabarowska w popołudniowej Syberyi donoszą, iż gdy pewien żołnierz, pilnujący siana pod wsią Rakowka zbliżył się nad brzeg pobliskiego potoka, aby prać bieliznę, przypadł doń znienacka tygrys i poszarpał żołnierza na sztuki. Znaleziono tylko kawałki ciała i kości z głowy i nóg. W celu schwytania żarłocznego zwierza, batalion strzelców, do którego żołnierz należał, urządził obławę.

Demoralizacya w gimnazyach pruskich. Pruski minister oświaty wydał okólnik, w którym wzywa grona nauczycielskie gimnazyów i progimnazyów do rozwijania większej kontroli nad życiem pozaszkolnem uczniów szkół średnich. Zarazem nakazuje wprowadzenie w życie większej karności. Okólnik ten wywołało zepsucie, które w ostatnich latach wystąpiło wśród młodzieży, uczęszczającej do szkół średnich. Oto od jakiegoś czasu młodzież gimnazyalna poczęła spędzać czas na pijatykach, hulankach nocnych i oddawaniu się uciechom najgorszego moralnie gatunku. Wskutek tego młodzież ta wychodzi z murów szkolnych już zblazowana, a i samobójstwa mnożą się wśród niej zatrważająco.

Zdaniem naszem taki mechaniczny, jak proponuje minister, a niedający się — zwłaszcza w większych miastach — przeprowadzić środek, nie zapobiegnie radykalnie złemu. Niech ministerstwo oświecenia położy większy nacisk na traktowaną w szkołach po macoszemu naukę religii, a w ten sposób stworzy się sama przez się podstawa psychologiczna, która nie pozwoli młodzieży schodzić z drogi cnoty, bo da jej zdolność rozróżniania dobrego od złego. Że tak jest, a nie inaczej, na to dowód w tem, że zło rozwielmożniło się bardziej wśród liberalnej protestanckiej, niż wśród religijniejszej katolickiej młodzieży.

Samobójstwo. Z Odessy donoszą: Utrzymująca się z emerytury wdowa po pułkowniku, Eleonora Stepanow, odebrała sobie życie w warunkach dość niezwykłych. Wynająwszy sobie pokój, pędziła życie samotne, nie przyjmując u siebie nikogo i nigdzie nie bywając. Do mieszkania jej nikt nie wchodził oprócz listonosza, który jej codzień oddawał *Kuryera warszawskiego*. Pewnego dnia, nie wiadomo dlaczego, leżąc w łóżku, udusiła się, a nazajutrz po jej samobójstwie, przy bramie domu, w którym zmarła mieszkała, znaleziono kartę korespondencyjną, adresowaną do redakcyi *Kuryera warszawskiego*, z następującemi słowami: „Proszę redakcyę uprzejmie, z powodu mego samobójstwa, nie przysyłać mi więcej gazety, a prenumeraty, którą opłaciłam z góry od 15. czerwca do 1. stycznia, użyć na cele następujące: Na pomnik Mickiewicza 1 rs., na kościół św. Józefa na Krakowskiem Przedmieściu 1 rs. i na kościół św. Krzyża 1 rs. Mam nadzieję, że prośba moja spełnioną zostanie. Eleonora Stepanow".

Teatr medyolański „La Scala" ma być z rozporządzenia tamtejszej rady miejskiej na nieograniczony czas zamknięty. Teatr ten wybudowano w drugiej połowie ubiegłego wieku. Pierwsze przedstawienie odbyło się w nim dnia 26 grudnia 1778 roku. Teatr nie należy wyłącznie do miasta, gdyż loże stanowią własność prywatną zamożnych medyolańczyków, a tylko parter i wyższe piętra pozostają do rozporządzenia rady miejskiej ewentualnie impresarya. Ten ostatni pobiera od każdego słuchacza jednorazową opłatę za wejście, a oprócz tego opłatę za siedzenie, stosownie do miejsca. Właściciele lóż żadnych opłat nie ponoszą. Wskutek tego dochody przedsiębiorcy są bardzo małe i miasto do sezonu, trwającego od Bożego Narodzenia do Wielkiej Nocy, musi dokładać 240 000 lir. Większa część tego subsydyum przypada tytułem wynagrodzenia za loże. Wszystkie usiłowania pociągnięcia właścicieli lóż do udziału w wydatkach spełzły na niczem. Obecnie wywiązał się proces pomiędzy tymi ostatnimi, a miastem, który, zdaniem prawników, trwać będzie najmniej lat trzy. Tymczasem rada miejska postanowiła cofnąć subsydyum. Tym sposobem pierwsza najsławniejsza scena włoska na przyszłą zimę będzie zamknięta. Taki sam los czeka szkołę baletową, w której kształciły się najgłośniejsze tancerki włoskie.

Podwójne samobójstwo. W ubiegłym tygodniu przyjechało do Berna morawskiego dwoje młodych ludzi. Stanęli w hotelu „Slavia," gdzie na karcie meldunkowej zapisali się jako: Jakób Litwan, c. k. nadporucznik z Munkacza, wraz z żoną. Następnie zamknęli się w swoim pokoju i od tej pory przez całą dobę wcale nie wychodzili. Wreszcie służba hotelowa wyważyła drzwi i znalazła na łóżkach dwa trupy. Rodzaj śmierci poznać było po pozycyi, w jakiej zastano oboje: wetknęli sobie rewolwery w usta i wystrzałem pozbawili się życia. Dochodzenia wykazały, że to było rodzeństwo; brat Jakób liczył lat 32, siostra Paulina lat 29. Przyczyna samobójstwa wyszła także wnet na jaw. Były nią nieprzyjemności służbowe Jakóba, w które wciągnięta była także jego siostra, bardzo kochająca brata. Samobójcy zostawili list z prośbą, aby o ich zgonie zawiadomić matkę, mieszkającą w Munkaczu.

Uwodziciel. Dziś rano przyaresztowała policya we Lwowie Henryka Aleksandra Józefa 3-ga im. C . . . ., który od dłuższego czasu nie mając żadnego zatrudnienia i środków do życia, nawiązywał stosunki z wolnemi kobietami, które pod pretekstem małżeństwa uwodził, następnie wyssawszy swą ofiarę z wszelkiej gotówki, porzucał. W chwili aresztowania C . . . . . zastano u niego w mieszkaniu jedną z ofiar w osobie 14-letniej uczenicy, którą także uwiódł. Policya odesłała ją do domu rodziców. Ofiar takich jest wiele, lecz nie o wszystkich policya miała wiadomość; dlatego wskazanemby było, by nieszczęśliwe ofiary z swemi pretensyami zgłaszały się do Dyrekcyi policyi, która ptaszka tego celem wymiaru sprawiedliwości wzięła w swą opiekę.

W sprawie rozstrzygnięcia konkursu na plany budowy muzeum przemysłowego we Lwowie obradowało od wczoraj — o czem donosiliśmy — jury, złożone z znanych i cenionych fachowców i rzeczoznawców. Dziś zapadła uchwała jury a brzmi ona jak następuje: „Polecić projekt pana profesora Bisanza, jako wymagający najmniej zmian".

Mogiła okrętów. Wyspa Sokotora, leżąca przy wschodnich wybrzeżach Afryki, o 150 mil angielskich od przylądka Guardafui, zamieszkana przez 10.000 arabów i beduinów, jest istną mogiłą okrętów. Od r. 1886 jest pod protektoratem angielskim, lecz brzeg jej, otoczony mnóstwem skał podwodnych, nader niebezpiecznych dla okrętów, dotychczas nie posiada latarni ostrzegających. W dniu 9 czerwca r. b. rozbił się tam znowu parowiec angielski „Aden". Na spuszczanych łodziach wyprawiono dzieci i kobiety, oprócz trzech, które nie chciały rozłączyć się z mężami, i te wybrały lepszą cząstkę... Albowiem wszystkie łodzie zatonęły, pozostali zaś na okręcie zeszli pod pokład, oczekując na niechybną śmierć. Po kilku godzinach burza się uciszyła i rozbitki mogli się uważać za ocalonych od szalejącego żywiołu, lecz nie od głodu. Większa część okrętu wraz z żywnością stała pod wodą; przez 17 dni, mrąc z głodu, czekali na ratunek. W dniu 26 czerwca przepływający okręt, spostrzegłszy sygnały, uratował rozbitków od bliskiej już śmierci.

Próby telegrafowania bez drutu, aparatem pomysłu p. Marconiego, dokonane przez włoskie ministeryum marynarki, dały podobno świetne rezultaty. Marconi zamierza wynalazek swój ofiarować bezpłatnie na użytek marynarki włoskiej. Tworzy się towarzystwo, mające na celu wyzyskanie tego znakomitego pomysłu.

Strach koni przed lwem. Wiadomo, że niektóre domowe zwierzęta, szczególnie konie, odczuwają ogromną trwogę przed lwami. Dzieje się to instynktownie. Zmarły niedawno dyrektor londyńskiego ogrodu zoologicznego, Bartlett, opowiadał, że raz u pewnego jakiś koń ciągnął wóz w pobliżu miejsca, gdzie się znajdowała klatka z lwem. Klatka była ukryta w gąszczu, więc koń nie mógł jej widzieć, pomimo tego im więcej się do tego miejsca zbliżał, tem większą trwogę objawiał, wreszcie zaczął parskać, wzdrygać się, i stanął. Kiedy zaś biedne zwierzę popędzono dalej, zwróciło się w przeciwnym kierunku i uciekało, ciągnąc za sobą ciężki wóz przez rowy i ciernie. Nie ulega wątpliwości, że przyczyną tego strachu jest osobliwa woń, którą wydzielają z siebie drapieżce z rodziny kotów, a której konie znieść nie mogą.

Dobra anegdota. Pewien muzyk zaprosił raz Bülowa na próbę generalną swej suity koncertowej. Bülow przybył na wezwanie, usiadł przed orkiestrą i słuchając ciągle podnosił kapelusz i kłaniał się uniżenie.

Po odegraniu całego „oryginalnego" utworu, zdziwiony kompozytor przychodzi do Bülowa i pyta komu się kłaniał.

Na to Bülow odpowiada:

— Panie, jestem człowiekiem dobrze wychowanym. Słuchając wykonania pańskiego utworu, spotykałem co chwila starych moich znajomych, rzecz więc prosta, że witałem ich ukłonem.

Osobliwego maniaka przedstawiono niedawno Towarzystwu lekarskiemu w Bordeaux. Jest to młody 27-letni człowiek, od lat 10 dotknięty manią zrachowywania liter, zawartych w zdaniach, które albo sam wypowie, albo napisze, albo usłyszy, albo nawet tylko pomyśli. Zrachowywanie to idzie mu tak łatwo, że wystarczy, by usłyszał jakiekolwiek zdanie, a natychmiast wymieni liczbę zawartych w niem liter. Naturalnie cierpi on wskutek tej bezpotrzebnej skrupulatności swego umysłu, lecz naprożno stara się rozerwać w ten sposób, aby zapomnieć o obowiązku zrachowywania liter. Po za tą manią jest to człowiek normalny, inteligentny i uchodzi za jednego z najdolniejszych funkcyonaryuszy przedsiębiorstwa kupieckiego, w którem jest zajęty.

Zmarli. We Lwowie Julia Piszkowa wdowa po adjunkcie tabuli krajowej i właścicielka realności w 73. roku życia; Janusz Kaczór-Batowski, nauczyciel wyższej szkoły realnej we Lwowie, w 27 roku życia.

Stan powietrza. T. o g. 8 rano + 16, w poł. + 15 R., Bar. 759. Spada. Deszcz.

Biała sukienka i Reputacya.

Biała sukienka raz do Reputacyi
Rzekła:
— Uważaj, proszę, przy kolacyi,
Abyś mnie sosem nie splamiła wać!
— Ech! — ta jej na to — ja się także boję,
By nie splamiło mnie sąsiedztwo twoje,
Bo na mnie więcej każdą plamkę znać.

Myśli.

Daj mi definicyę egzaminatora? To człowiek, który najczęściej bywa innego zdania, niż stający do egzaminu.

Mało kto wie, jak wiele trzeba wiedzieć, aby wiedzieć, iż się nic nie wie.

Człowiek piękny, ale ograniczony, podobny jest do głupiego, kaligraficznie napisanego listu.

Są twarze, w których nie widać nic, oprócz... cygara.

Jeżeli chory wyzdrowieje — natura pomogła lekarzowi, jeżeli chory umrze — lekarz pomógł naturze.

Pochlebstwo rodzi się częściej w pustym żołądku, niż w przepełnionym sercu.

LITERATURA I SZTUKA.

* **Adolf Dygasiński.** „Pióro". Warszawa. Nakład Paprockiego i Spółki. 1897. — Pan Paweł Stróżański, właściciel dziedzicznej wioski Bzówek, szlachcic „wąsaty i pyzaty", ze sztuk pięknych uprawiał za młodu tylko... pląsy. Wodził rej na wszystkich kuligach, prowadząc krzykliwie i zamaszyście mazury, aż wytańczył sobie żonkę Basię, szlachciankę z rodu, który piął się do góry, ale gonił resztkami. Byli ze sobą szczęśliwi. On grywał z sąsiadami w preferansa po pół kopiejki, wódkę pił zawsze do „trinum perfectum", wino „dwunastu było apostołów", ekonomowi wymyślał od durniów, parobków grzmocił po karkach, a na gumnie klął „od wszystkich dyabłów". Ona smarzyła konfitury, które bardzo lubiła, chichotała z sąsiadkami, przypinając łatki nieobecnym i wodziła za nos swego dobrodusznego Pawełka, nie pozwalając mu się mieszać do niczego, prócz gospodarstwa. Czasem tylko zdarzały się wypadki, w których pani Barbara udzielała mężowi obszerniejszego pełnomocnictwa. „Pawełku, pokręćno głową, bo mi pieniędzy potrzeba". W zakresie takiego zlecenia mógł już swobodnie rozwijać swoją samodzielność. „Kręcił" też głową tak dzielnie, że żydzi z sąsiedniego miasteczka mieli go zawsze w swojej kieszeni.

Państwo Pawłowie mieli jedynaczkę Kazię, dziecko „nie urokiem" i śliczne i mądre. Cóż, kiedy ta uroda i ta jej inteligencya dawały się każdemu we znaki. Już w piątym roku życia trzęsła domem, znając jedynie swoją wolę i w krótkim czasie nie powaga matki, lecz córki stanowiła domowy ordynek w Bzówku. Kazia od bony nauczyła się mówić biegle po francusku, a od guwernantek, które pani Barbara często zmieniała, grać na fortepianie, nieco historyi i literatury.

Kiedy Kazia dorosła, zaczęli się zjeżdżać konkurenci, ale ku wielkiemu zdziwieniu rodziców panna dawała wszystkim odkosza. Kochała w skrytości swego serca kuzyna, Józia Słuckiego, który w domu państwa Stróżańskich blisko od dwu lat był na łaskawym chlebie. Był to charakter prawy i oryginalny, inteligencya olbrzymia, ale nędzarz ostatni. W Bzówku będąc, przesiadywał najczęściej w oficynie, gdzie pisał powieść p. t. „Pióro", która mu miała przyszłość zapewnić. On także kocha Kazię, ale niestety! poślubić jej nie może, gdyż jest żonaty. Wyznanie to uczynione Kazi, jak również świadomość, że rodzicom grozi zupełna ruina, skłoniły pannę do oddania ręki p. Aleksandrowi Łaskotnickiemu, młodzieńcowi zanadto ruchliwemu, narwanemu, nieokrzesanemu, lecz posiadającemu piękną wioskę i nadzwyczaj bogatego stryja.

Po ślubie kuzynki Słucki wrócił do Warszawy, w której panowało, zwłaszcza między literatami ogromne ożywienie: zakładano nowy dziennik. Józio sprzedał redaktorowi początek powieści, zamieszkał u przyjaciela i miał zamiar kończyć „Pióro". Tymczasem dowiedział się, że żona ego, z którą wkrótce po ślubie rozeszli się, wstąpiła do teatru, że występuje pod zmienionem nazwiskiem i że uroda i talent zdobyły jej moc wielbicieli. Pierwsza miłość ma w sobie to, że się ją zawsze pamięta. Pani Marya Słucka kochała męża wciąż miłością niewypowiedzianą i tęsknotą, na jaką tylko stać kobietę. Po różnych próbach i przejściach małżeństwo łączy się, a Słucki tak rozmiłowuje się w swej porzuconej małżonce, że z dawnego „męża-pana" stał się „kochankiem-niewolnikiem". Naturalnie o kończeniu „Pióra" mowy teraz nie było, pomimo usilnych nalegań redaktora, który już dawno początek powieści wydrukował i za przerwę wciąż czytelników swoich przepraszać musiał. W szczęśliwem pożyciu małżeńskiem marniały zdolności i podupadał talent pisarski Słuckiego. Ambitna małżonka jego boleje nad tem i postanawia porozumieć się w cztery oczy z przyjacielem męża Ranowskim, aby wynaleść sposób na pobudzenie twórczej fantazyi autora „Pióra". Wyznacza Ranowskiemu schadzkę w miejscu ustronnem, wieczorem. Ranowski, cichy wielbiciel pani Słuckiej, stawił się punktualnie — ale zamiast radzić nad wskrzeszeniem zaniedbanego talentu przyjaciela, spędził kilka godzin z jego żoną na czułych szeptach, uściskach i pocałunkach...

Ktoś uczynny doniósł o tem Słuckiemu, który, zraniony boleśnie, po raz drugi opuszcza żonę. Wynajął za miastem kawalerski pokoik i czując, że tylko rozkosz umysłowa może wynagrodzić wszelkie zawody, zabrał się do pisania i zaniósł wkrótce redaktorowi drugą część swojej powieści. Ale widocznie nie było przeznaczonem Słuckiemu dzieła tego dokończyć... Kuzynka, Kazia, która w małżeństwie nie znalazła szczęścia, bita i poniewierana przez męża, opuściła dom jego i przybyła do Warszawy, szukać niezależnego stanowiska. Tu spotkała Słuckiego w chwili, kiedy ten był zraniony wiarołomstwem żony. Uczucia, któremi karmili się w Bzówku, wracały wolno do życia, aż jednego dnia pan Słucki powiedział sobie: „Całą potęgą duszy będę się wpatrywał w to swoje szczęście, a w miłości dla niej zbiegną się wszystkie uczucia i kochania, jakiem kiedykolwiek żywił na świecie". Oddany całą duszą tej miłości, zapomniał o pisaniu tak dawno rozpoczętego dzieła. Kazia w Warszawie chciała zrazu piórem na chleb zarabiać, ale tylko jej pierwsza praca, pełna życiowej prawdy „Listy młodej mężatki," znalazła uznanie. Inne prace, słabe, odrzucały redakcye i to skłoniło Kazię do szukania karyery na innej drodze. Wstąpiła do teatru. Młodość, niezwykła uroda, ogromnie rzutki temperament i wrodzone zdolności, zapewniały jej wielkie powodzenie. Istotnie, zaraz pierwszym występem zjednała sobie publiczność i zepchnęła Słucką na drugi plan. Nowa gwiazda weszła w drogę dawnej i gruby cień na nią rzuciła. Warszawa ujrzała więcej zachwycające bożyszcze i z hołdami ku niemu poczęła się zwracać. Kobiety rozkupywały czekoladki a mężczyźni papierosy z nazwiskiem Kazi Stróżańskiej. Młodzież wyprzęgała konie i własnoręcznie powóz z Kazią zaciągała do domu. Goryczą straszną zalewało się serce tak niegdyś psutej i pieszczonej Słuckiej. Robiła straszne wysiłki, aby raz jeszcze na powierzchnię wypłynąć, ale nadaremne. Ostatnia godzina jej sławy wybiła... Pomiędzy temi aktorkami powstała niesłychana zawiść, która objawiała się na zewnątrz coraz częściej wstrętnemi scenami, wybuchami słów obelżywych, walkami na parasolki i t. p. Dla opuszczonej przez męża, przyjaciół i wielbicieli, pani Słuckiej, jedna tylko została droga wyjścia: zemsta! Potępiają ją ludzie, ale oną zawsze będzie ostatnią ucieczką człowieka, który mniema, że go bliźni niesprawiedliwie skrzywdzili. Pani Słucka zawiera przymierze z mężem dawnej przyjaciółki Szczęsnym Błażewskim i we dwoje rozpoczynają kreciąrobotę: kopanie dołków pod Strużańską. Pracują wytrwale, nie przebierając w środkach i doprowadzają do tego, że Strużańska obmówiona, oczerniona, wyśmiana, wygwizdana ze sceny, musiała opuścić Warszawę. W towarzystwie Słuckiego przyjechała do Lwowa, gdyż zawarła kontrakt z dyrekcyą tego teatru. Na dworcu kolei oczekiwali przedstawiciele sceny miejscowej z kwiatami na przyjazd sławnej i pięknej warszawskiej artystki i z okazałością odwieźli ją do hotelu Żorża. Próby, które rozpoczęła zaraz nazajutrz, szły jej świetnie, wróżono jej olbrzymie powodzenie. Lwów drżał z niecierpliwości, by jak najprędzej ujrzeć na scenie czarodziejską królowę komedyi. Nadszedł nareszcie ów dzień, zapowiedziany przez afisze i gazety, dobijano się o bilety, płacąc niesłychane ceny za uzyskanie wstępu. W dniu tym po południu siedziała w hotelu Kazia ze Słuckim, upojeni miłością i przyszłymi tryumfami, kiedy nagle wpada do pokoju porzucona żona Słuckiego. Rozegrała się wstrętna scena zazdrości między dwiema kobietami. Przezywały się, pluły na siebie, drapały się wzajemnie do krwi. Słucki nawet nie próbował być rozjemcą między kochanką i żoną. Wyszedł z hotelu i na wałach hetmańskich odebrał sobie życie.

Po zgonie jego nastąpiła zgoda obu artystek dramatycznych, które w dalszym ciągu grały z powodzeniem. Tendencya jest bardzo jawna, zwłaszcza że Słucki przed śmiercią taki mniej więcej wypowiada monolog: „Każdy człowiek raz w życiu przypina sobie orle skrzydła, aby lecieć ku słońcu piękna i prawdy. Miłość zadaje mu pierwszy cios i niewoli go do obniżenia lotu." W rysunku swych postaci Dygasiński przedstawia się jako naturalista, co wypływa z jego sposobu patrzenia na świat. Możnaby mu też zrobić zarzut, że w ogólnych obrazach dla wywołania żywszego wrażenia używa czasami zbyt jaskrawych efektów, przez co niektóre figury nabierają odcienia karykaturalnego. Zresztą autor zna wybornie ludzi i stosunki zarówno w życiu miejskiem jak i prowincyonalnem i maluje je ze szczerością bezwzględną.

Budowa powieści jest słaba, akcya rozstrzelona, a teza, że miłość obniża talent, jest wprost mylną. Tylko miłość zmysłowa, pozioma, może tak ujemnie wpływać na ludzi. Miłość wielka, prawdziwa i piękna podnosi, uszlachetnia i — jak wiemy dobrze z biografii różnych znakomitych ludzi — przyczyniała się zawsze do ich twórczości literackiej.

* **Teatr im. hr. Fredry** Ze Stanisławowa nam piszą: Na scenie teatru tutejszego pojawiają się od czasu do czasu utwory Szekspira. Ile razy się to zdarzy, publiczność potęguje w sobie to przekonanie, że teatr nasz stoi na takiej wysokości, iż może odtwarzać postacie Szekspirowskie. W ubiegłą sobotę właśnie widzieliśmy „Wieczór Trzech Króli", którego przedstawienie wypadło bardzo dobrze zwłaszcza przy znanej staranności reżyseryi. Gra panny Szymańskiej, oraz panów Milewskiego i Romana była wyśmienitą i przynosi zaszczyt zarówno artystom, jak i całemu teatrowi. Na wzmiankę zasługuje także bardzo staranna wystawa i kostyumy, tem bardziej, iż teatr hr. Fredry na wielkie wydatki pozwalać sobie nie może. Przed tygodniem wystawiła dyrekcya sztukę ludową Adama Staszczyka pt. „Filareci", na sobotę zaś dnia 17 b. m. przygotowuje trzyaktową sztukę Jana Szutkiewicza pt. „Kula u nogi". Wogóle teatr tutejszy robi usilne starania, aby publiczność swą zająć i wywołać zadowolenie estetyczne.

* **„Nasza Monarchia"**, wydawnictwo jubileuszowe nakładem Jerzego Szelińskiego. Wiedeń. Księgarnia uniwersytecka. — Wyszedł właśnie trzeci zeszyt tego wydawnictwa i mieści z odnośnymi opisami obrazy Pragi z jej pomnikowemi budowlami, zajmujące 12 kartonow. Ryciny wykonane są wspaniale. Redaktorem tego pięknego wydawnictwa, które obejmować będzie 24 zeszytów, jest p. Juliusz Laurencicz. Tekst do trzeciego zeszytu napisany przez prof. dr. Jerzego Gutha, odznacza się wielką obfitością dat historycznych i bardzo dokładnie objaśnia wszystkie ryciny.

* **Srebrne wesele**, polonez Barbary Geistlener, skomponowany na cześć Heleny z Tarnawskich Rittnerowej i dra Edwarda Rittnera z powodu ich srebrnego wesela, ukazał się nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta.

Kronika sztuk plastycznych

Wystawa obrazów, ofiarowanych przez artystów malarzy na rzecz podupadłego na zdrowiu artysty-rzeźbiarza Antoniego Kurzawy, została już zamkniętą. Przez czas jej trwania sprzedano około 90 obrazów i szkiców.

Na początku roku przyszłego urządzoną zostanie w salonie sztuk pięknych Krywulta w Warszawie wystawa mickiewiczowska z okazyi jubileuszu naszego wieszcza. Program tej wystawy, oprócz zgromadzenia rozmaitych malowideł obejmie konkurs na najlepszy obraz lub rysunek, ilustrujący jakikolwiek epizod z dzieł nieśmiertelnego poety. Na wystawę składać się mają: portrety wieszcza olejne, pastelowe, akwarelowe, robione piórkiem, kredką lub ołówkiem; wszelkie ilustracye i obrazy, do których rysownicy lub artyści treść czerpali z pism Mickiewicza, wreszcie reprodukcye tych obrazów tak krajowe jak zagraniczne.

Na poznańskiej wystawie sztuk pięknych wystawiono dwa obrazy olbrzymiej wielkości jednego z najwybitniejszych mistrzów niemieckich, Adolfa von Meckel, którego talent niepospolity na międzynarodowej arenie sztuk pięknych zjednał sobie uznanie powszechne i rozgłos niepospolity.

Adolf von Meckel, uczeń słynnego malarza Gude, profesora akademii sztuk pięknych w Karlsruhe, należy do najoryginalniejszych talentów epoki obecnej. Jest to artysta w całem znaczeniu tego wyrazu, fantasta i myśliciel zarazem, którego prace, pełne natchnienia, nacechowane są charakterystyką prawdziwie odrębnego talentu i fantastycznym polotem.

Meckel, syn znanego w Berlinie lekarza i anatoma, po śmierci ojca, którego w pierwszej stracił młodości, przeniósł się z matką do dziada swojego, mającego podówczas stanowisko urzędnika państwowego w Rosyi, a po śmierci jego dopiero powrócił do Niemiec. Ukończył gimnazyum w Sztutgardzie, a następnie akademię sztuk pięknych w Karlsruhe. Z zamiłowaniem zwiedzał potem dalekie kraje i jako artysta-wędrowiec wspaniałe tworzył obrazy, pomiędzy któremi zasłynęły w świecie artystycznym utwory: „Rybak Bachiri", „Dziewczyna arabska", „Kobiety z Birska", „Próżność haremu", „Pasterka owiec" i t. p.

Podstawą i celem kierunku artystystycznego tego mistrza była zawsze „natura".

Po długich latach wędrówki, która go po za krajem ojczystym trzymała, pojąc go różnorodnemi cudami dalekiego świata i wdziękiem tajemnic natury, Adolf von Meckel, sztuce i studyum tylko oddany, nietylko od ziemi swojej rodzinnej, ale od społeczeństwa wogóle trzymając się w oddaleniu, zamknięty w sobie i zawodowi swemu oddany, odznaczał się charakterem oryginalnym, mało przystępnym, poprzestając wogóle li tylko na bardzo szczupłem gronie najbliższych swoich przyjaciół. Znużony nareszcie długoletnią wędrówką, powrócił do Berlina, gdzie 24 maja 1893 zakończył żywot doczesny.

Jedno z jego olbrzymich płócien, wystawionych obecnie w Poznaniu, przedstawia w całej grozie „Wieczorną burzę morską", drugie, zatytułowane „Znalezienie zamordowanego" odtwarza scenę w pustyni.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 13 lipca.

(Z.). W pierwszych godzinach dzisiejszych obrotów przedsięwzięto znaczne transakcye w akcyach kredytowych. Wczoraj już bowiem doniosły niektóre pisma, że na terenach w Ropicy ruskiej, zakupionych przez Towarzystwo naftowe, założone pod egidą Zakładu kredytowego, dowiercono się do bardzo obfitych pokładów ropy, wróżono więc temu Towarzystwu świetną przyszłość. Skorzystały z tego oczywiście akcye interesowanego w tem przedsiębiorstwie Zakładu kredytowego. Początkowy zapał spekulantów ostygł jednak bardzo rychło. Sfery fachowe bowiem nie podzielają optymistycznych nadziei co do przyszłości kopalń w Ropicy i zarzucają, że kopalnie galicyjskie wogóle mają tę właściwość, iż w pierwszej chwili ropa wytryska z nich bardzo obficie, później jednak zmniejsza się wydatność szybów. W rezultacie więc straciły akcye kredytowe w zupełności poranną zwyżkę i zamknięto je nawet kursem o $1^1/_2$ złr. niższym. Alpiny i dziś były przedmiotem ożywionej spekulacyi równie jak i akcye tramwajowe. Mówiono jakoby o rzeczy niemal pewnej, że tutejszy Bankverein sprzedaje cały swój zapas akcyi tramwajowych konsorcyum berlińskiemu, do którego należy firma Siemens & Halske, ubiegająca się o koncesyę na tramwaj elektryczny w Wiedniu. — Kolejowe akcye spadają z każdym dniem. Ogłoszony dziś bilans prowizoryczny za maj wykazuje, że w tym miesiącu dochody kolei z kilometra obniżyły się przeciętnie o 3%.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 367·75, węgierskie 396·—, Anglobanki 159·50, Uniony 299·—, Bankvereiny 258·25, Länderbanki 239·25, Ludwiki 216·—, Czerniowieckie 285·—, Elbethale 261.—, Renta papierowa 102·15, srebrna 102·25, austryacka złota 123·30, austr. renta wal. kor. 101·20, węgierska złota 122·75, węgierska renta wal. kor. 100·15, dukat 5·65, 20-frankówka $9·53^1/_2$, marki 11.73—, ruble $1.26^3/_4$.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 15 lipca. Cesarz przyjmował wczoraj hr. Gołuchowskiego na półgodzinnej audyencyi. Po tej audyencyi udał się hr. Gołuchowski do ministra oświaty br. Gautscha i długo z nim konferował. Także minister wspólnych finansów p. Kallay był wczoraj na audyencyi u Cesarza, a następnie konferował z hr. Gołuchowskim.

Ateny 15 lipca. Car i królowa angielska odpisali już królowi na ostatnią jego depeszę, w której on wskazywał na przykre położenie Grecyi i prosił o przyśpieszenie rokowań pokojowych. Odpowiedź cara i królowej Wiktoryi uspokoiły wielce rodzinę królewską.

Komitet zawiązany dla wspierania zbiegów z Tessalii ogłosił, że wszystkie jego fundusze są już wyczerpane i że wobec tego nie może swym klientom udzielać żadnych wsparć.

Konstantynopol 15 lipca. Nadeszły już odpowiedzi wszystkich mocarstw na ostatni cyrkularz turecki w sprawie regulacyi granicy w Tessalii. Radzą one sułtanowi, aby poddał się postanowieniom mocarstw. Najbardziej stanowczym ma być telegram cara i zawiera podobno nawet groźbę, że w razie dalszego oporu Turcyi, Rosya użyje repressalii w Azyi Mniejszej. Sułtan odpowiedział podobno bezzwłocznie carowi, że się zastosuje do jego życzenia, wszelako nie przyjmuje na się odpowiedzialności za skutki tego nacisku, wywieranego nań i za wrażenie, jakie opuszczenie Tessalii zrobi na ludność i armię. Wczoraj odbyła się rada ministrów, na której miano powziąć stanowczą decyzyę.

Belgrad 15 lipca. Członkowie skupczyny przedstawili się gremialnie królowi. Król rzekł do prezesa jej Pasicza, że głównym celem teraźniejszej nadzwyczajnej sesyi skupczyny jest zawotowanie wydatków, które rząd był zmuszony poczynić z powodu zajść na Bałkanie.

Wiedeń 15 lipca. Sankcyę Cesarską otrzymała uchwalona przez Sejm galicyjski nowela do ustawy drogowej.

Przyjechali dnia 15 lipca. Stanisław Wybranowski z Kimirza. Wład. Potocki z Bukomysz. K. Chlebowski z Krakowa. Tomisław i W. Rozwadowscy z Wiednia. J. Tausche z Pragi. St. Okęcki z Krakowa.

Przyjechali dnia 15 lipca. L. br. Brückmann z Manastyrca. M. Lisowiecki z Chłopic. J. Paygert z Streptowa. E. Kański z Hołotek. B. Rozwadowski z Turówki. E. Lityński z Litwinowa. E. baron Brunicki z Zaleszczyk. M. Zakrzewski z Czołhan. R. Kryński z Warszawy. J. Perłowski z Podola rosyjskiego.

Przyjechali dnia 15 lipca. J. Faliszewski z Żółkwi. W. Grudziński z Rosyi. T. Marconi z Krakowa. J. Parys z Królestwa. J. O. Grübl z Pragi. J. Kapko z Lubaczowa. Fr. Schwartz z Wiednia. L. de Bernardy z Londynu. A. Chryszatyńska z Rosyi. H. Ellbogen z Wiednia. Hr. E. de Maitre z Preszburga. J. Schütz z Krakowa.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 15 lipca. (Z Izby handlowej)

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 215.— do 218.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 284 — do 288.—. Banku hypotecznego po 200 zł w. a. 384 — do 394.—. Akc garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 210.— Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. a 10 proc. prem. 110.30 do 111.—, 4 i pół proc. los. w 50 lat 100.— do 100.70 4 pr. los. w 60 lat 96.70 do 97.40. Banku kraj. 4 i pół proc los. w 51 lat. 100.50 do 101.20. Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97.50 do 98.20. Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I. emisya) 97.80 do 98.50 4 proc. los. w 43 i pół latach 97·60 do 98.30. 4 proc. los. w 56 lat 97.30 do 98.—.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 98.— do 98.70, Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.75 do —.—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 100.20 do 100.90 Kolejowe lokalne Banku krajowego 4% po 200 koron 96.50 do 97.20. Pożyczki kraj. 6 proc. 108.— do —.—, 4 i pół proc. —.— do —.—, 4 proc. z r. 1891 97.80 do 98.50, 4 proc. po 200 koron z roku 1893 97.10 do 97.80.

Monety. Dukat cesarski 5.60 do 5.70. Napoleondor 9.48 do 9.58. Półimperyał 9.55 do —.—. Rubel rosyjski papierowy 1.26 do 1.27. 100 marek niemieckich 58.40 do 58.90.

Wiedeń 14 lipca. Notowania wieczorne. Przy zamknięciu giełdy popołudniowej stały akcye kredytowe na 368·37, węgierskie akcye kredytowe 395.50, anglobanku 159.50, związku bankow. 258.50, unionbanku 299.25, landerbanku 239.50, kolei państwowych 351·25, lombardów 85·50, kolei nadłabskiej 261.00, akcye tytoniowe 159.00, rima 254·50, alpiny 120·40, renta majowa 102·10, renta koronowa węgierska 100.20, losy tureckie 57.50, marki 58·71, ruble 126.25.

32)

KTO WINIEN?

Powieść

przez

E. BRADDON.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

— Czy to pani nie wiesz, że panny z arystokracyi bardzo młodo wychodzą za mąż? Gdy im się nie uda w pierwszym lub drugim roku złapać dobrej partyi, to już rzecz skończona. Otóż lady Fanny dwa sezony już spędziła w Londynie u ciotki swojej, lady Lufington, i wróciła z kwitkiem. Zrobiła najkompletniejsze *fiasco*, choć jest dość szykowna i ma niezłe wzięcie.

— Czy pani nie znajdujesz jej ładną?

— Nie — stanowczo zawyrokowała pani Tudley. — Za chuda jest i cerę ma za śniadą.

— Ależ takie cudowne oczy...

— Nie mówiłam przecie, żeby była straszydłem — cierpko przerwała żona majora.

Spotkała była raz lady Frances na balu dobroczynnym i u lady Ritherdon na dorocznem jej ogrodowem zebraniu, gdzie gromadziło się całe wyższe i podrzędniejsze towarzystwo okoliczne i na mocy tych dwóch przypadkowych zetknięć udawała w rozmowie z panią Upham i z ludźmi jej sfery, że należy do koteryi Blatchmardean'ów. Świadomość jednakże, iż nigdy nie zostanie przypuszczoną do jej kółka, nadawała pewną cierpkość jej tonowi, wielekroć była mowa o lady Frances Grange.

Ta ostatnia, wraz z bratem, lordem Bevillem, wjechała była na dziedziniec dworski, aby się przywitać z miss Dorą Blake i jej siostrzenicami. Pochyliła się na siodle, aby szepnąć coś poufnie Tinie, którą lubiła bardzo. Morton był na placu wraz z sir Everardem i Izą, która przyjechała w faetoniku na miejsce spotkania.

— Ciekawa jestem, dla czego miss Courtenay nie poluje? — rzekła lady Fanny, patrząc na nią zdala. — Ojciec jej trzyma tyle koni. Mogłaby używać życia, wiele chce.

— O! mnie się zdaje, że ona nie dba o tego rodzaju używanie — odparła Tina. — Zresztą Morton pewnie nie lubiłby tego.

— A więc twój brat nie lubi kobiet polujących? — spytała lady Fanny, rumieniąc się z lekka.

— Nie może ich znosić. Gdyby nie to, polowałabym przecie. „Motyl" sadzi znakomicie przez pola, a jest on przecie moją wyłączną własnością; ale wiele razy podsunę ostrożnie myśl, żeby go wytrenować do polowania, Morton zaraz zachmurza się jak noc listopadowa i protestuje, że żadna z jego sióstr nie poniży się na tyle w swojej godności kobiecej, aby skakać przez płoty i rowy i uwijać się po polach wśród czeredy rubasznych farmerów i dojeżdżaczy. Czy to nie zacofane pojęcia, powiedz sama?

— Zapewne, że po takim postępowym liberale, jak Morton, można się było czegoś innego spodziewać; ale uważałam nieraz, że ludzie, którzy wyznają szerokie poglądy w polityce, mają bardzo zacieśnione pojęcia w innym zakresie. Z tem wszystkiem żałuję, że nie jeździsz z nami, Tino. Jestem pewna, żebyś się dobrze zabawiła.

— Ależ zdawałoby mi się, że jestem w siódmem niebie! Ja przepadam za sportem. Jeżeli tylko wyjdę za mąż za jakiego poczciwca, to będę polowała cztery razy na tydzień.

Tu lord Beville nadjechał, wołając, że dano już sygnał do wyjazdu, więc Fanny wesoło pokłusowała u jego boku, choć wesołość ta tkwiła raczej w żywych ruchach młodego jej wierzchowca, niż w jej twarzy, która powlokła się nagle poważnym i zasmuconym wyrazem.

Zatrzymali się chwilę dla zamiany paru słów z sir Everardem, Izą i Mortonem, który stał przy faetonie, obojętny na wszystko, prócz na obecność swej ukochanej.

Wyglądała ona prześlicznie w jasnych blaskach zimowego poranku i wydawała się niezwykle ożywioną, jakby coś pomyślnego było ją wprawiło w doskonały humor.

— Jedziemy w stronę Yarfield — mówił Morton. — Mógłbyś pan pojechać kawałek drogi z nami, sir Everardzie.

— Jedźmy, papo! prosiła Iza; więc faeton ruszył wśród jeźdźców konnych wespół z innemi kabryoletami, dogcartami i wehikułami familijnemi, wiozącemi gości. Dzień był pogodny, jasny, słoneczny, a ciepły wietrzyk, zalatujący od południa, niósł zdaleka delikatny aromat lasów sosnowych i orzeźwiający zapach świeżo zoranej ziemi. Słońce oświecało pola i płoty, barwiąc złotem i purpurą zwiędłe liście drzew i krzewów, wśród których podobne do korali, połyskiwały czerwone jagody głogów. Wązka, kręto wijąca się wśród łąk rzeka odbijała błękit nieba bez żadnej skazy. Ostatnie ślady przymrozku znikły zupełnie; a w powietrzu czuć już było wczesne powiewy zbliżającej się wiosny.

Morton odczuwał w duszy wpływ tej pogodnej atmosfery, przesiąkłej urokami nieba i ziemi. Jechał on na dobrym koniu, a choć był niewielkim amatorem polowania i nie takim zapalonym sportsmanem jak ojciec, jednak lubił niekiedy przekłusować się po polu, kiedy cała natura zdawała się uśmiechać do niego. Dzisiaj był on wyjątkowo dobrze usposobionym. Ostatniemi dniami przebywał wiele w towarzystwie Izy i to wpłynęło niemało na ukojenie jego umysłu. A jednak i dzisiaj widok Shafto Jebba, jadącego na bułanym koniu, przypomniał mu niemiłe rozmowę zasłyszaną pod „Trzema głowami cukru" i podrażnił go mocno chwilowo.

Obecnie jechał on ścieżką tuż przy drodze, obok lady Fanny Grange i jej brata. Morton i Fanny byli wielkiemi przyjaciółmi. On i Beville pobierali wspólnie nauki w domu i w szkole, i od owego czasu młody Blake zachował z jego rodziną jak najlepsze stosunki. Z Fanną był on na tak poufałej stopie, jak ze swojemi siostrami; nie przestali nigdy mówić sobie po imieniu. Zanim zaręczył się z Izą Courtenay, Morton zwykł był wiele wolnego czasu spędzać w Blatchmardean, grając w bilard z Bevillem, ucząc się gospodarstwa od starego lorda i chodząc po zaniedbanym parku i oranżeryach z Fanną. W domu bywał on zawsze bardzo zajętym, ale w Blatchmardean, gdzie nikt nie odznaczał się wielką pracowitością, rad trwonił czas swój na niczem. Tam było jego miejsce wypoczynku i rozrywki. Kiedy został narzeczonym córki sir Everarda Courtenaya, zdawało się, że dał za wygraną raz na zawsze tym próżniaczym posiedzeniom w bilardowej sali, w zarosłym chwastami malowniczym parku i w zapylonej bibliotece, do której od czterdziestu lat nikt nie dodał ani jednego tomu. Od czasu do czasu bywał w Blatchmardean, aby nie być posądzonym o zaniedbywanie dawnych przyjaciół, ale każdą wolną chwilę poświęcał wyłącznie Izi.

Ani Fanny, ani jej brat nie brali mu tego za złe. Uważali to za naturalne następstwo nowych uczuć i związków.

— Morton ogromnie przejmuje się wszystkiem — mówił Beville do siostry. — Nigdy nie robi nic połowicznie. Rad jestem, że ani ty, Faniu, ani ja nie bierzemy tak poważnie życia, jak on.

— Kto to wie? Może on ma słuszność, a my jesteśmy w błędzie odpowiadała Fanny. — Życie jest może o wiele poważniejszą sprawą, niż nam się zdaje i zemści się kiedyś na nas za naszą lekkomyślność, wypominając nam ją w przykry sposób.

Beville nie zrozumiał dobrze tego metafizycznego zagadnienia.

— Nie wiem, co przez to rozumiesz — rzekł. — Mam jednak nadzieję, że zawsze jakoś to będzie...

Fanny odczuła bardzo na razie brak swego zwykłego towarzysza i nie przestała tęsknić za nim, bo nie miała wielu przyjaciół. Stary lord bowiem trzymał się zdala od towarzystwa.

— Mamy z czego żyć — mawiał — ale nie możemy dać się objadać, boby nam wkrótce samym chleba do ust i dachu nad głową zabrakło.

Żaden gość więc nie przyjeżdżał do Blatchmardeanu na dłuższy pobyt; żaden towarzysz z klubu nie zjawiał się z dalekich okolic, aby strzelać bażanty starego lorda i wypalać jego cygara w okazałym kamiennym „hallu", w pośrodku którego stał bilard i gdzie się zwykle gromadzili mieszkańcy domu na pogawędkę. Dwa czy trzy razy do roku lord Blatchmardean zapraszał któregoś z sąsiadów na jednodniowe polowanie, a resztę czasu on sam z synem i leśniczym strzelali ptaki i rozkoszowali się śniadaniem, złożonem z chleba, sera i piwa, z apetytem, którego mógłby im pozazdrościć niejeden smakosz, wykarmiony na pasztetach strasburskich i likierach zagranicznych. Fanny towarzyszyła czasem ojcu i bratu w dalekich wycieczkach do lasu, po żniwie zwiędłych liści i strzelała równie celnie, jak każdy z nich. Beville nauczył ją obchodzić się z fuzyą, zanim skończyła dwanaście lat, tak, jak ją nauczył jeździć konno, fechtować, pływać i grać w krokieta. Dotrzymywała mu też ona placu we wszystkich jego rozrywkach.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. **Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej.** **Drukarnia nar. St. Maniecki i Spółka Hotel Zorza. Zarządca W. Hodak.**